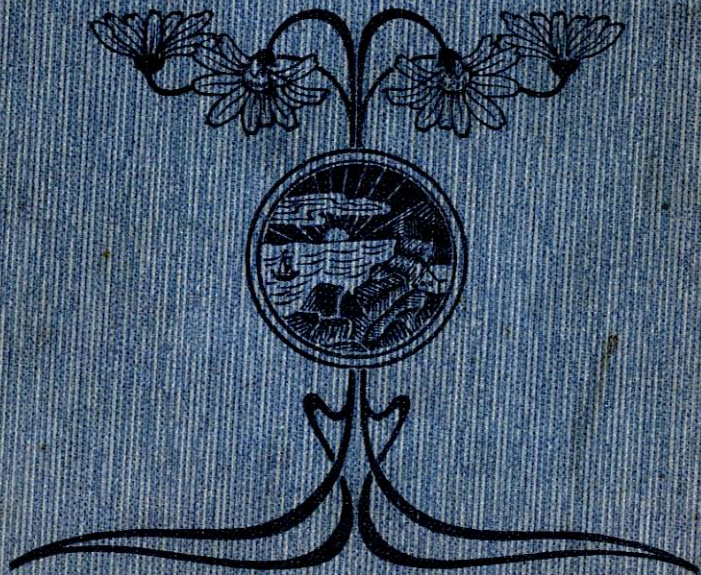


H. J. Iwerski

ZWYCIĘZCY
BIEGUNA

Cz. II.



ZWYCIĘZCY BIEGUNA.

ZWYCIĘZCY BIEGUŃA

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA



PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO.

CZĘŚĆ II

WARSZAWA
NAKLADEM MICHAŁA ARCTA
i «NASZEGO ŚWIATA»



45639/2

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.
1912

K-86/47/67806

CZĘŚĆ II-ga.

VIII.

Zbrodniczy Prusak.

Na głos Remisza porwali się wszyscy z miejsc i pobiegli do otworu, wiodącego na spód okretu, skąd dobiegały odgłosy owej walki.

Oczom wszystkich przedstawił się straszny widok. W wązkim przejściu, wiodącym do składów, a oświetlonem zwieszającą się u sufitu lampką elektryczną, zajadłe walczyło z sobą dwóch ludzi.

W jednym z nich poznano Remisza, w drugim palacza Więciorka. W rękę tego ostatniego połyskiwało złowrogo ostrze noża. Zdawał się brać górę nad znacznie słabszym i wątleszym Remiszem, wreszcie skorzystawszy z osłabienia przeciwnika, pchnął go nożem w pierś. Remisz zachwiał się i z głuchym okrzykiem runął na podłogę.

Więciorek z zaciśniętymi zębami, z płomieniem

Zwycięzcy bieguną. Cz. II.

niem w oczach, z nożem wzniesionym do góry, rzucił się na leżącego. Byłby go dobił na pewno, gdyby Stańczak nie powstrzymał go za ramię.

Zwrócił się do niego rozszalały palacz i niewiadomo jakimby był wynik tej walki, gdyby na pomoc Stańczakowi nie rzucili się inni.

W jednej chwili skrępowano ręce Więciorka, związano je, a powaliwszy go na ziemię, odebrano nóż.

Skrępowanego odprowadzono do jednej z pustych kajut na spodzie okrętu, czekając na wyjaśnienie sprawy, to jest na odzyskanie przytomności przez Remisza.

Zajął się nim zaraz doktor Starski, przynosząc przy pomocy pana Bonieckiego i Jerlicza do salonu, gdzie po złożeniu na jednej z kozetek, przystąpił do opatrywania rany.

Na szczęście nóż Więciorka, wymierzony w serce, obsunął się po żebrach, rozdzierając tylko ciało, a nie naruszając żadnego z ważniejszych organów.

Odetchnął z ulgą doktor Starski, po obejrzeniu rany i zawołał:

— No, dzięki Bogu, nic groźnego, płuca ani serce nie są naruszone. Poleży parę tygodni i będzie zdrów.

Podczas opatrywania rany, pod wpływem bólu, Remisz drgnął i otworzył oczy.

— Co to? — spytał nawpół przytomnie — co się stało?..

— Nic nadzwyczajnego — odrzekł mu doktor — palacz Więciorak chciał pana zamordować, lecz na szczęście nie udało mu się to. Komendant zdążył przyskoczyć w porę i ocalił pana.

— Komendant!.. — powtórzył Remisz, jakby przypominając coś sobie — czy jest tu?

A gdy Stańczak stanął przy nim, Remisz gorączkowo mówić zaczął:

— Strzeżcie się Więciorka... Miejcie się na baczności przed nim... to zdrajca i szpieg...

— Na jakiej podstawie opiera pan swe oskarżenie — zapytał poważnie Stańczak — i co było powodem całego zajścia między nim a panem?

— Na czem opieram oskarżenie swoje! — powtórzył jak echo Remisz — a toż, mając go z polecenia pańskiego, komendancie, na uwadze, dawałem baczenie na każdy jego krok... Nie uszło to uwadze mojej, jak porozumiewał się z «Germanją», jak również i to, że starał się podsłuchać każdą rozmowę na okręcie. Coraz baczniejszą zwracałem uwagę na każdy jego krok. Zauważyłem, że kręcił się bardzo około składów. Aż wreszcie teraz schwytalem go na tem, jak korzystając z tego, że wszyscy zajęci byli na pokładzie słuchaniem opowieści profesora, usiłował wytrychem otworzyć drzwi

do składu i dostać się tam. Ujawszy go na gorącym uczynku, krzyknąłem, a wtedy on rzucał się na mnie z nożem w ręku. Co dalej się działo, wiecie panowie lepiej ode mnie.

Stańczak zmarszczył czoło, po wysłuchaniu tej opowieści. A więc podejrzenia jego na realnej postawie były oparte!

Kto się jednak krył pod tą postacią palacza Więciorka i co było powodem postępowania jego? To go najwięcej intrygowało i postanowił zbadać bliżej tę sprawę.

Zdawało się tylko nie ulegać żadnej wątpliwości, że zbrodniarza musiały łączyć jakieś węzły z «Germanją».

Poleciwszy więc przenieść rannego Remisza do jego kajuty, gdzie nad nim na zmianę ofiarowali się czuwać: doktor Starski, Marynia, Basia oraz Majewski i Korchut, pozostał w salonie z Bonieckim, Jerliczem, Peńskim, Browiczem i Runiewiczem.

— Sprawa ta — rzekł, gdy zostali sami — przedstawia się bardzo poważnie. Poważniej nawet, niż się na pierwszy rzut oka zdaje. Okazuje się z niej, że panowie Prusacy z «Germanji» w celach konkurencyjnych nie przebiegają zupełnie w środkach i że gotowi są nawet uciec się do zbrodni, byle tylko celu dopiąć. Przedewszystkiem należy nam wybadać, kto się kryje pod osobistością owego Więciorka i jak daleko posuniętą jest zbrodnicza robota.

— Zbadać rzecz tę należy dokładnie — wtrącił Runiewicz — lecz łotrstwa takiego puścić bezkarnie nie można. Głosuję zatem, ażeby postawić go przed sądem morskim i ukarać najsurowiej.

Słowa te zyskały ogólną aprobatę i Stańczak polecił przynieść do salonu wszystkie rzeczy, znajdujące się w komórcie, zajmowanej przez Więciorka. Mieściły się one w walizce, okutej mocno stalowymi prętami i zamkniętej na zamek sekretny.

Przywołany Piotr Krempa po wielu trudach zdołał go otworzyć, i gdy uniesiono wieko, oczom wszystkich przedstawił się kompletny przyrząd ratunkowy, w którym można było przepłynąć wiele mil bez obawy zatonięcia. Znajdowały się w nim nawet specjalne, zabezpieczone od przemoknięcia skrytki na zapasy żywności oraz dwie butelki z koniakiem.

— A więc ptaszek ten był nawet tak zabezpieczony! — zawołał pan Boniecki — no, nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to on był sprawcą zepsucia się maszyny.

— Co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości, wobec tych oto dowodów — wtrącił Browicz i podniósł do góry cały asortyment dłut i pilników, przy pomocy których uszkodzenie maszyny było nader łatwe.

Waliza mieściła po za tem parę sztuk ubra-

nia, zresztą nic, coby mogło posłużyć do stwierdzenia osobistości tajemniczego Więciorka.

— To niemożliwe! — rzekł Peński — musi mieć przy sobie jakiś dowód, którymby w razie potrzeby mógł się wylegitymować. Musi on być gdzieś ukryty!

Nie namyślając się długo, rozpruć zaczął ubranie, sztuka za sztuką, badając z nadzwyczajną uwagą każdy kawałek. Nic nie mógł jednak znaleźć.

Po ubraniu, tak samo przeszukał przyrząd ratunkowy, a gdy i tam nic się nie okazało, zaczął rozrywać i pruć walizę. Tu dopiero poszukiwania jego zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Za płótnem, oklejającym dno walizy, znalazł ukryty arkusz papieru, złożony we czworo. Rozwinął go i okazał się on świadectwem wydanem lejtnantowi zapasu armji pruskiej, Zygrydowi von Brunow.

Jednocześnie prawie na progu salonu ukazał się Kabatek, niosąc w ręku puszkę blaszaną, niewielkich rozmiarów.

— Panie komendancie — rzekł do Stańczaka, podając ją — przy przeglądaniu korytarza, wiodącego do składów, znalazłem w kąciку tę puszkę. Zdaje się, że należy ona do Więciorka i zawiera dynamit!

Pobladł ze wzruszenia Stańczak, biorąc do ręki ową puszkę.

— Mamy dostateczny dowód — rzekł — w ja-

kim celu ów Więciorek, a właściwie Zygfryd von Brunow, chciał się dostać do składów. Ta jedna puszka melinitu w zupełności wystarczyłaby do wysadzenia okrętu w powietrze.

Możemy teraz w całości odtworzyć sobie plan zbrodniczego czynu jego. Miał zamiar założyć w składzie tę puszkę, by za godzinę lub dwie wybuchła, poczem, przebrawszy się w przyrząd ratunkowy, szukać dla siebie ocalenia w falach. Szlak ten dość gęsto w tej porze nawiedzany jest przez norweskie łodzie rybackie, mógł się więc spodziewać, że wyciągną go one z nurtów. A my tymczasem przez wybuch tej puszkę pograżeni zostalibyśmy w odmętach oceanu. Gdy mu się nie udało zamach w czasie burzy, przy pomocy zepsucia maszyny, postanowił spróbować go przy pomocy materji wybuchowej. Wszakże tak łatwo byłoby katastrofę naszą złożyć na karb szalejącej na morzu burzy, a w ten sposób «Germanja» z łatwością pozbyłaby się konkurentów i sama, przy pomocy Zeppelina, święciłaby tryumf dostania się do biegun.

W miarę słów Stańczaka przed oczami zabranych powstał pełen grozy obraz niebezpieczeństwa, na jakie byli narażeni! Gdyby nie baczność i ofiara Remisza, wszyscy może już w tej chwili spoczywaliby na dnie morza.

Tem większą też nienawiść i gniew uczuwali dla ohydneho zbrodniarza.

— Pod sąd go!.. pod sąd morski!.. rozległy się głosy i wnet zajęto się ukonstytuowaniem tegoż sądu.

Na przewodniczącego zaproszony został pan Boniecki, a towarzyszymi jego być mieli porucznik Runiewicz i marynarz Jost. Sekretarzem miał być jeden z kadetów, Lucjan Korchut, oskarżycielem zaś Peński. Obrony zbrodniarza, ku zdumieniu wszystkich, podjął się profesor Narbutt.

— Pozwólcie— rzekł on do zgromadzonych — bronić się oskarżonemu... Może znajdzie się dla niego choć parę słów usprawiedliwiających, może w głębi zbrodniczej duszy jego drzemią jakie szlachetniejsze instynkty, które wpłynąć mogą na złagodzenie kary.

Przystano na to.

Sąd miał się odbyć na pokładzie. Ustawiono wielki stół, okryty zielonem suknem, umieszczono na nim srebrny krucyfiks z wizerunkiem Ukrzyżowanego.

Gdy sąd zajął miejsca, na dany znak wprowadzono oskarżonego, pod strażą Majewskiego i Kabatka, uzbrojonych w rewolwery.

Wszyscy wylegli na pokład, ażeby być świadkami rozpraw, z wyjątkiem rannego Remisza, oraz Maryni i Basi, które go pielęgnowały.

Zbrodniarz, znalazłszy się na pokładzie, z nawiścią zmierzył wszystkich spojrzeniem, po-

czem patrząc z podełba, stał w milczeniu, czekając widocznie na zapytanie.

— Kto jesteś? — zapytał go Boniecki.

— Jakim prawem pyta mnie pan? — odpowiedział zapytaniem na zapytanie zbrodnień.

— Prawem sędziego — odrzekł spokojnie Boniecki.

— Nie uznaję żadnego sądu—zawołał zuchwale oskarżony — oprócz jednego jedyngo, obowiązującego mnie, a mianowicie sądu królewsko-pruskiego w Berlinie.

— Za zbrodnię swoją — brzmiała spokojna odpowiedź — podlegasz wyrokowi sądu morskiego, któremu ulegają wszyscy, którzy popełnili zbrodnię w czasie podróży morskiej. I przed takim właśnie sądem stoisz!

Ta odpowiedź zdetonowała znacznie zbrodniarza i odebrała mu całą jego butę. To też gdy pan Boniecki ponowił zapytanie:

— Jak się nazywasz?.. — odparł pokorniejszym już tonem:

— Jan Więciorek...

— Kłamiesz — zaprzeczył mu tenże — gdyż według tego oto dokumentu wiadomem nam jest, że jesteś lejtnantem zapasu armji pruskiej, Zygfrydem von Brunow...

Wściekłość wykrzywiła rysy twarzy Więciorka vel Brunowa. Szarpnął się, rzucił na przód, jakby chcąc dokument wyrwać z rąk

Bonieckiego, lecz silne ramiona Majewskiego i Kabatka przytrzymały go na miejscu.

Zaklął głucho i pełnem nienawiści spojrzaniem mierzył zebranych.

— W jakim celu pod obcem nazwiskiem zakradłeś się na pokład »Polonji»? — pytał go dalej Boniecki.

Milczenie było mu odpowiedzią:

— Zygrydzie von Brunow — powtórzył swe zapytanie — odpowiadaj na pytania moje. Oskarżony jesteś, że podczas burzy na Oceanie w pobliżu wybrzeży Norwegji, ażeby spowodować zatonięcie »Polonji» zepsułeś maszynę, oraz, że obecnie, również w tymże zbrodniczym celu usiłowałeś dostać się do składów, ażeby wysadzić okręt w powietrze... Odpowiadaj w jakim czyniłeś to celu i kto cię do tego nakłonił?

Zapytany milczał uporczywie.

— Zygrydzie von Brunow — po raz trzeci zapytał Boniecki — pomnij, że stoisz w obliczu sądu, który za zbrodnię twą mocen jest ukarać cię śmiercią. Mów więc, co mieć możesz na swoje usprawiedliwienie...

Oskarżony podniósł do góry głowę i odrzekł dumnie:

— Tak jest... przyznaję się do tego, że chciałem wysadzić was w powietrze i żałuję, że nie dokonałem tego. Jako wierny syn »Germanji» nie mogłem dopuścić, byście wy, marni Słowia-

nie, tryumfować mieli nad nami!.. Nie mogłem pozwolić na to i wszelkimi sposobami chciałem wam w tem przeszkodzić. Na biegunie północnym może powiewać tylko sztandar potężnych Niemiec, żaden inny!

Umilkł, a wtedy stary Jost spytał go się niespodziewanie:

— No, no, nie opowiadaj głupstw... Przyznaj no się lepiej, ile to ci nagrody obiecali prusacy za to, ażebyś nas wysadził w powietrze i przeszkodził w dalszej żegludze?

Zmieszał się, posłyszawszy to śmiało rzucone oskarżenie Brunow i stracił odrazu całą swą butę i pewność siebie.

A gdy zapytanie to, w innej coprawda formie powtórzył i pan Boniecki, mówiąc:

— Wyznaj, jaką nagrodę otrzymać miałeś od »Germanji», za przerwanie nam naszej wyprawy.

Mimowoli prawie wyrwało się z ust Brunowa:

— 30,000 marek obiecało mi za to stowarzyszenie »H. K. T.»...

I jakby spostrzegłszy się, że wygadał się zupełnie niepotrzebnie, zamilkł i od tej chwili ani słowem nie odpowiadał na żadne, zadawane mu pytania.

Wreszcie badanie zostało skończone. Wina była zupełnie jawną i nic jej zaprzeczyć nie mogło, nic nawet nie usprawiedliwiałoby go. Ze

wszystkiego widocznem było, że był to nikczemny najmita, który za pieniądze, w celach niby patrijotycznych, podjął się wykonać czyn niski, haniebny, zbrodniczy!

Najmniejszy cień litości zginął z serc wszystkich, gdy patrzeli na tego człowieka, który dla pieniędzy podjął się zamordowania ich wszystkich z zimną krwią, obojętnie.

Z uznaniem też przyjęto krótką, lecz jędrną przemowę Peńskiego:

— Wina Zygryda von Brunow jest zupełnie jawną. Potęguje ją jeszcze to, że chciał dokonać tej strasznej zbrodni wyłącznie dla zysków materialnych. Deklamacja jego o patrijotyzmie, który popchnąć go miał do tego, nie zasługuje na najmniejsze uwzględnienie. Człowiek, porwany uczuciem patrijotyzmu, będzie walczył otwarcie, jawnie, ze współzawodnikiem, nigdy zaś nie ucieknie się do czynu podstępnego, niskiego. Do takiego patrijotyzmu, o jakim nam głosi Zygryd von Brunow i jakiego chciał nam dać dowód, zdolni są może tylko Prusacy, lecz po za nimi żaden naród cywilizowany nie uznałby go. Nie ma więc dla niego żadnego usprawiedliwienia — winien jest i surowej za to domagam się dla niego kary. Zasłużył na nią i każdy cień litości, poczytywanymby nam był za dowód słabości i lekku przed siłą pięści Prusaków.

Cichy szept uznania rozległ się po słowach

Peńskiego. Z zaciekawieniem oczekiwano teraz, co powie prof. Narbutt, czem usprawiedliwi zbrodniarza. Oczy wszystkich skierowały się na wątłą postać sędziwego profesora, gdy powstawszy z miejsca, zabierał się do wygłoszenia przemowy.

Oczy jego gorzały, a głos nabrał dźwięków śpizu, przy wygłoszeniu pierwszego zdania.

— Panowie — rzekł — macie tu sądzić człowieka za zbrodnię straszną, zbrodnię haniebną. Na usta wszystkich cisnąć się muszą mimowoli słowa potępienia za nią i każdy w pierwszym porywie oburzenia domagać się za nią będzie jaknajsurowszej kary! W sprawie tej jedna tylko może być odpowiedź: zasłużył na nią. winien jest.. Słyszeliśmy zarzuty skierowane przeciw oskarżonemu. Lecz pozwólcie wypowiedzieć parę słów i za nim. Przedewszystkiem zbadajmy istotę czynu: czy winowajca popełnił ową zbrodnię, o którą go oskarżamy, czy też tylko miał zamiar ją popełnić?.. Miał zamiar. Na szczęście całe, schwytyany na gorącym uczynku, nie mógł jej spełnić! Tego, co przeszkodził mu w spełnieniu tej zbrodni, ranił niebezpiecznie. Prawda — i to potęguje stopień winy! Lecz mimo to, nie do tego stopnia, ażebyśmy aż za to żądać mieli krwi za krew, oko za oko! Pobudki, które go skłoniły do tego czynu, są niskie, haniebne, lecz o ileż więcej hańby przynoszą one tym moral

nym inicjatorom tej zbrodni, zaciekłym szwinstom pruskim, należącym do osławionego związku «H. K. T.», którzy znęciwszy go obietnicą sowitej nagrody, popchnęli do tego czynu. Oni są stokroć więcej winni od niego, lecz ich kara za to nie dosięgnie.

Oskarżyciel wzywał was, panowie, do wymierzenia jaknajsurowszej, kary, ażebyście tem dali dowód, że się nie obawiacie siły pięści Prusaków! A ja wam powiadam, panowie, wymierzcie mu karę możliwie łagodną. Nie dlatego, żebyście się bali, gdyż o Polaku nikt tego powiedzieć nie może, lecz dlatego, byście dali dowód swej wspaniałomyślności, byście dowiedli światu, że Polacy wszystkie winy przebaczać umieją i że zemsta jest im obca. Pamiętajcie, wymierzając karę, że jesteście Polakami. Niech to powoduje wami... Winien jest — ukarać go należy, lecz pomnijcie też i o tem, że może to wspaniałomyślne, szlachetne postąpienie wasze wpłynie na odrodzenie zdeprawowanej duszy. Pomnijcie na to, że nie tylko on jest winien. Winni są ci, co popchnęli go do czynu tego, winni są ci, co wychowali go tak, winien jest cały system wychowania współczesnych Prus, tego rozsadnika zła i nienawiści... Pomyślcie o tem, i wtedy dopiero wyrok swój wydajcie!

Profesor umilkł, a głośny poklask zebranych

był mu odpowiedzią. Nawet w oczach oskarżonego błysnął cień wdzięczności.

Sędziowie usunęli się na naradę. Trwała ona krótko. Po pięciu minutach powrócili, wygłaszając następujący wyrok:

...Zygryd von Brunow uznanym zostaje za winnego usiłowania popełnienia zbrodniczego zamachu na okręcie «Polonji» i według praw morskich zasługuje na karę śmierci. Wobec jednak różnych okoliczności łagodzących, skazany zostaje na wygnanie z okrętu. Zaopatrzone w żywność oraz przyrząd ratunkowy, puszczony zostanie w szalupie na fale morza, dopóki nie napotka jakiego okrętu, który mu udzieli pomocy. O czynie jego i karze zawiadomione zostaną wszystkie porty i okręty, krążące po morzach północy.

Gdy Boniecki skończył odczytywać wyrok, wszyscy ucieszyli się z łagodności jego. To napozór surowe puszczenie w szalupie na fale morskie było karą bardzo łaskawą ze względu na to, że w stronach tych o tej porze roku kursowało wiele okrętów i łodzi rybackich, przyczem na burzę nie zanosilo się tak prędko.

Natychmiast kapitan Browicz wydał odpowiednie rozkazy. Naszykowano jedną z największych szalup «Polonji», naładowano ją żywnością na dni dziesięć, zaopatrzone we wszyst-

ko, co mogło mu być potrzebne w drodze, umieszczono przyrząd ratunkowy oraz broń.

Gdy ukończono te przygotowania, Boniecki rzekł do skazanego:

— Zygfrydzie von Brunow! Łódź dla ciebie gotowa. Wsiadaj do niej i daj gdzie zechcesz. Niech kara ta wpłynie na zmianę usposobienia twego... Niech poprawi cię i nauczy, że prawdziwy patriotyzm nie polega na zbrodni, nie polega na czynieniu źle. Żegnaj!

Brunow schwycił za drabinkę sznurową i powoli zstępować po niej począł do łodzi. Znalazszy się w niej, ujął za wiosła i kilkoma silnemi pchnięciami oddalił się od «Polonji».

A gdy już był w dość znacznej odległości, usta jego wykrzywił uśmiech pełen nienawiści, wzniosł pięść do góry i grożąc nią, miotać począł przekleństwa na Polaków.

Jednocześnie na «Polonji» przesyłano telegrafem bez drutu w stronę Hammerfestu depeszę następującej treści:

«Zygfryd von Brunow, lejtnant zapasu armji pruskiej, przekupiony przez stowarzyszenie H. K. T., w interesach wyprawy naukowej pruskiej, udającej się na «Germanji» w stronę bieguny północnego, zakradł się pod przybranem nazwiskiem, jako palacz, na pokład «Polonji» i tam w zbrodniczy sposób wysadzić chciał cały okręt. Ujęty na gorącym uczynku, ciosem noża zranił jednego z członków załogi. Wy-

rokiem sądu morskiego skazany został na wygnanie z okrętu i puszczony na morze w łodzi, zaopatrzonej w żywność i przyrząd ratunkowy pod 72°14' szerokości północnej i 49° 15' zach. Upraszamy o zawiadomienie o tem wszystkich portów i okrętów».

IX.

Na lodowej ławicy.

Lawirując wśród płynących lodowców, coraz bardziej przez nie naciskana, posuwała się «Polonja» powoli na północ.

Parę dni już minęło od zajścia z Brunowem, i powoli też wszyscy zaczęli wracać do równowagi.

Remisz również czuł się znacznie lepiej. Gorączka ustąpiła, a rana goiła się zupełnie prawidłowo. Na pokładzie życie płynęło dość monotennie, urozmaicane tylko połowem ryb morskich, lub wesołą pogawędką.

Czasem widok jaki niezwykle, jak naprzykład niesionej na złomie lodowym całej rodziny niedźwiedzi białych, wywabiał wszystkich na pokład.

Liczba lodowców tych zwiększała się coraz bardziej w miarę posuwania się na północ.



Musiano pilnować bacznie, by «Polonja» nie uległa zgnieceniu przez nacierające coraz bardziej lodowce. Temperatura również spadała coraz bardziej, dochodząc do 25 stopni zimna.

Aż wreszcie pewnej nocy zimno zapanowało tak wielkie, że «Polonja» znalazła się wśród wielkiej płaszczyny lodowej.

— Znakomicie!—zawołał Jerlicz, ujrawszy ją—na co nam szukać wyspy? Zbadajmy tylko, ak grubym jest ten lód i jak daleko się ciągnie i na nim przystępujemy do pracy.

Zmierzone zaraz grubość lodu. Wynosiła więcej niż metr.

— Przepysznie! — monologował z zapalem Jerlicz — toż na tym lodzie możnaby wystawić miasto całe, i nie załamałby się on pod nim...

— Jakto?.. — zapytała obecna przy tem Marynia.

— A tak — odrzekł jej zapytany — wszakżeż lód 2 calowy utrzymać może człowieka, 3 i pół calowy uniesie konia z jeźdźcem, 5 calowy armatę z uprzężą, 10 calowy zaś całą armję... Ten lodowiec zaś ma przeszło czterdzieści cali... Możemy więc śmiało stawiać na nim naszą fabrykę...

Pozostawało jeszcze zbadać, jak daleko ciągnąć się może ta ławica lodowa. Dla tego należało tylko puścić się na północ, za piętrząc się tam wzgórze lodowe i przekonać się.

Na wycieczkę tę wybrali się: pan Boniecki

z córką, prof. Narbutt, Stańczak, Jerlicz, Peński, Jost i Kabatek.

Reszta pasażerów i załogi pozostać miała na straży przy «Polonji».

Zimno dochodziło według termometru do 35 stopni.

Marynia wyraziła zdziwienie, że zimno to nie daje się uczuć tak dotkliwie.

— Dlatego — odrzekł jej na to prof. Narbutt—że niema najłżejszego wiatru. Człowiek dostatecznie odziany z łatwością znieśnie najsilniejszy nawet mróz, o ile nie będzie wiatru. Towarzysz Nansena — Hansen, przy czterdziestu stopniach mrozu w samej tylko bielźnie oczyszczał instrumenty i nie czuł tak dotkliwego zimna. Lecz niech tylko zawieje najłżejszy nawet wietrzyk, zaraz uczuwa się ból całego ciała i gwałtowne cierpienie głowy, po czem, często bardzo, następuje zaraz śmierć.

Tak rozmawiając, dotarli do owego łańcucha wzgórz lodowych, na które wdrapali się przy pomocy kijów ostro okutych. Stamtąd przed wzrokiem ich roztoczył się czarowny widok.

Olbryzmia płaszczyna lodowa, okryta śniegiem, poprzerrywana pasmami wzgórz, ciągnęła się przed nimi. Promienie słońca, padając z ukosa, przełamywały się w puszynekach śniegu tęczowymi blaskami.

Długą chwilę stali, wpatrując się w prze-

strzeń, olśnieni tym widokiem, gdy naraz, Marynia, chwytając ojca za ramię, zawołała:

— Tam krew!.. ojciec... tam krew!..

— Gdzie?.. gdzie?..— zaczęli się dopytywać z niepokojem wszyscy obecni...

Marynia palcem wskazała im ciągnące się w oddali pasma czerwonego, jak purpura śniegu... W odległości sprawiło to rzeczywiście wrażenie, jakby w miejscu tem rozlaną została krew...

— To nie krew, panno Marjo—z uśmiechem rzekł profesor—to śnieg zabarwiony osobnego rodzaju żyłkami, zwanymi algi. Ta czerwona barwa śniegu ludziła nieraz podróżników. Dopiero kapitanowi Johnowi Rossa udało się wyjaśnić tę zagadkę. Te czerwone żyłka zabarwiają śnieg na głębokości 3 do 4 metrów.

Stwierdziwszy, że lawica rozciąga się bardzo daleko na północ i że nie grozi prędkim rozsypaniem się, powrócili do okrętu. Zdecydowano natychmiast przystąpić do montowania aeroplanów, ażeby nie tracić drogiego czasu. Odbyć się ono miało na pokładzie, pod wzniesionym naprędce namiotem, w którym specjalne piecyki utrzymywać miały cieplejszą temperaturę, ażeby palce nie marzły przy składaniu poszczególnych części.

— Ostrożnie wogóle — ostrzegali starzy marynarze — z dotykiem się gołą ręką części metalowych, gdyż można ulec zdarciu skóry.

— Podczas wyprawy Nansena—zaczął mówić profesor — jeden z psów pociągowych polizał językiem kółko żelazne na pokładzie. Ma się rozumieć, język przymarzył mu do niego. Biedne psisko rzucić się zaczęło, szarpać, i byłoby wyrwało sobie język, gdyby jeden z załogi nie ujął go za kark i nie przytrzymał, a następnie ręką w rękawiczce nie rozgrzał kółka do tego stopnia, że język odstał. Psina uciekla ze skowytem i zdaje się, że od czasu tego unikała lizania wszelkich metalowych części.

Gdy już pokład oczyszczono dostatecznie, przystąpiono do rozpinania namiotu, poczem wynosić poczęto z pod pokładu skrzynię jedną za drugą i składano je z boku pokładu.

Jerlicz z Peńskim zajmowali się sami rozpakowywaniem ich, bacząc pilnie na poszczególne, ponumerowane części aeroplanów, poczem przystąpili do składania szkieletu. Goriwie pomagali im w tem marynarze, choć nieraz przejmowała ich zabobonna trwoga na widok dwóch potężnych sztab metalu, zda się na pozór potężnej wagi, wiszących swobodnie w powietrzu. Patrzeli na Jerlicza, jak na czarodzieja i posłusznie wypełniali wszystkie jego polecenia.

Podczas, gdy na pokładzie wrzała praca około montowania aparatów, Boniecki z córką w towarzystwie Stańczaka, lub którego z kadetów, puszczał się z bronią w rękę na wy-

cieczki myśliwskie. Nie mógł jednak natrafić na zwierzynę.

Prócz tego Marynię uczył Korchut, zapalony narciarz, jazdy na nartach. Panna Boniecka nabierała wprawy coraz większej w tym sporcie, puszczała się na nich na coraz dalsze wycieczki po powierzchni śniegowej.

Przyjemnie i wesoło upływał czas uwięzionym na olbrzymiej ławicy lodowej, lecz mimo to, z niecierpliwością oczekiwali ukończenia prac przy montowaniu aeroplanów, by mógł puścić się w dalszą drogę.

Szczególniej niecierpliwie oczekiwał tego prof. Narbutt i Stańczak.

Profesor codziennie od rana puszczał się na ekskursje naukowe, szukając okazji, któreby mogły zbogacić zbiory jego. Coprawda jednak z niezbyt obfitemi plonami powracał z tych swoich wycieczek.

Staćzak znów, o ile nie towarzyszył panu Bonieckiemu lub Maryni w ich wycieczkach, czynnie pomagał przy montowaniu aeroplanów.

Razu pewnego, gdy na pokładzie wrzała praca, Stańczak posłyszał kilka pojedynczych strzałów, dobiegających z poza pasma pobliskich wzgórz lodowych, w stronie, w którą udała się na nartach Marynia z Korchutem.

Zaniepokojony porzucił robotę i porwawszy za karabinek magazynowy, pomknął czempredziej w tamtą stronę.

Nie zdołał jednak ubiedz daleko, gdy ujrzał ześlizgującą się ze wzgórza pannę Marynię, za którą toczył się potężny biały niedźwiedź.

Marynia nie straciła zimnej krwi w ucieczce, gdyż oto zatrzymała się, odwróciła i wystrzeliła z rewolweru, który trzymała w ręku.

Niedźwiedź ryknął głucho, widocznie draśnięty kulą i przyśpieszył biegu.

Chwila jeszcze, a dosięgnie uciekającą, schwyta ją pazurami.

Spostrzegł Stańczak, że nie zdąży przybiedz na czas, przypadł więc na kolano, przyłożył do ramienia karabinek i mierząc w łeb rozszalałej bestji, wypalił.

Krótki ryk i niedźwiedź, rażony kulą, runął martwy na ziemię.

Panna Marynia przystanąła, oddychając z trudem, bardzo wzruszona.

— Ocalił mi pan życie — zawołała, wyciągając rękę do zbliżającego się Stańczaka.

— Nic się pani nie stało? — dopytywał troskliwie, ściskając jej rękę — nie zadrapał pani?

— Nie — odrzekła — oho... nie pozwoliłam mu nawet zbliżyć się do siebie... kulę za kulę pakowałam mu w łeb... przechwalała się, wymachując w powietrzu miniaturowym rewolwerem.

Uśmiechnął się Stańczak z tej brawury i nachyliwszy się nad niedźwiedziem, spytał:

— A gdzie pani podziła Korchuta?

— A został dalej za mną — odrzekła z niepokojem — zdaje się, że tam drugi niedźwiedź go atakował.

Na tę wiadomość pomknął Stańczak za wzgórze, gdzie zobaczył rzeczywiście Korchuta, osaczonego przez drugą potężną bestję.

Bezbronny, krył się on za wystającym cyplem lodowca, do którego niedźwiedź nie mógł dosięgnąć. Lecz sił mu już braknąć zaczynało... Czas pewien jeszcze, a runie wyczerpany, bezsilny, i stanie się ofiarą rozjuszonego zwierzęcia.

Dostrzegł to Stańczak, i czempredzej pomknął, krzykami starając się zwrócić uwagę niedźwiedzia w swoją stronę.

Udało mu się to częściowo, a gdy znalazł się w odległości pięćdziesięciu kroków, przypadł na kolano, złożył się i wystrzelił.

Kula ze świstem przecięła powietrze i niedźwiedź, rażony w lewy bok, postąpił jeszcze parę kroków, lecz gdy raziła go druga kula, runął martwy na ziemię.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Korchuta.

— W sam czas przybyłeś z pomocą, komendanciel — zawołał. — Jeszcze chwil parę, a miałaby ta bestja ze mnie niezgorszy obiad. Ale co z panną Marją? — zapytał z niepokojem — słyszałem strzały.

— Nic... cała i zdrowa...— odrzekł mu Stań-

czak — udało mi się zabić niedźwiedzia, który ją ścigał.

Huk strzałów ściągnął na lodowiec całą prawie załogę okrętu, zarówno jak i Bonieckiego, który polował w pobliżu.

Przybiegł, miotany niepokojem i obawą o córkę i odetchnął dopiero wtedy, gdy ujrział ją całą, a na śniegu rozciągnięte dwa olbrzymie białe niedźwiedzie.

— Toś ty je zabił?.. — zapytał z odcieniem podziwu i zazdrości Stańczaka.

— Tak jest — odrzekł tenże.

— No, masz szczęście... Ja całe dnie włóczę się po okolicy i żadnego napotkać nie mogę.

— Tak, ojczulku — wtrąciła się panna Marynia—ale gdyby pan Stańczak nie zabił ich, to ani ja, ani pan Korchut nie stalibyśmy tu obok ciebie.

— Co?! — zawołał ze zdumieniem pan Boniecki — a to jakim sposobem?

Dopiero Marynia opowiedziała mu szczegółowo całą przygodę swą, zakończywszy opowiadaniem jak ją Stańczak celnym strzałem swoim ocalił od pewnej śmierci.

Poblądł pan Boniecki, słuchając tej opowieści, i porwawszy Stańczaka za rękę, zawołał zdławionym ze wzruszenia głosem:

— Bóg ci zapłać za to, coś zrobił! Czemp-

żeż ja cię za to wynagrodzę? Żądaj wszystkiego czego zechcesz, otrzymasz.

— Ależ, szanowny panie — odrzekł spokojnie Stańczak — to co zrobiłem było tylko obowiązkiem moim, i przedewszystkiem jestem so-
wicie wynagrodzony, widząc pannę Marię zdrową i całą.

Uściskał gorąco go raz jeszcze Boniecki, poczem wraz z innymi oglądać zaczął powalonne kulami Stańczaka niedźwiedzie.

Rzeczywiście, były to okazy rzadkiej wielkości, o długiem, puszystem futrze.

Nadciągnął też i profesor, który przyrzawszy się dokładnie niedźwiedziom, rzekł:

— Ho, ho! to są prawdziwe okazy królów pustyni lodowej. Niedźwiedź biały (*Ursus Maritimus*) jest najstraszniejszym z twórców fauny podbiegunowej. Łączy on w sobie siłę lwa z drapieżnością hijeny. Zmierzcie ich szpony: wyciągnięte mają 5 do 6 centymetrów długości, a zęby wystają 3 do 4 centymetrów po nad szczękę.

Tułów ich jest dłuższy nad 2 metry, znajdowano jednak i większe sztuki. Berentz na przykład zabił niedźwiedzia długości 3 metrów, a Parry znów innego, takiej samej długości, który ważył 1800 funtów.

— Czemżeż się karmi ten potwór? — zapytała panna Marynia.

— Wyłącznie mięsem ryb i zwierząt lądo-

wych, a zdobywa je, dzięki swej sile i przebiegłości, prawie że bez trudu. Pływak i nurerek niezrównany, potrafi ścigać w głębi wód ryby i ziemnowodne, któremi się żywi. Pod wodą może pozostawać długo bez zaczerpnięcia powietrza. Poluje przedewszystkiem na foki i młode morsy; starego morsa atakuje ale na lądzie tylko, gdyż w wodzie omija go, obawiając się klów jego, zwłaszcza, że we właściwym sobie żywiole mors jest silniejszym od niego.

W pogoni za zdobyczą, błądzi po śnieżnych pustyniach, przepływa morza na krach i lodowcach. Nieraz jednak, mimo swej siły i chytryści cierpieć musi dnie prawdziwego głodu, a trafia się to zawsze wtedy, gdy foka rzadko ukazuje się na lądzie dla nabrania powietrza, albo gdy go płynącego na lodowcu zapędzą niespodziewane wiatry w dalekie strony.

W ponurych porach roku Islandja i Szpicbergen bywają nawiedzane przez masy przybywających na wędrownych lodowcach białych niedźwiedzi. Wygłodzone długą drogą, żarłoczne — są wtedy wprost straszne dla ludzi i zwierząt i rzucają się na wszystko, co tylko na drodze swej spotkają.

Głównem jego pożywieniem jest foka. Zdobycie jej nie przychodzi mu jednak z wielką łatwością. Foka jest bardzo ostrożna i sypia zawsze, jak to mówią na jedno oko; co parę

sekund się budzi i rozgląda po okolicy, czy nie widać czasem gdzie zbliżającego się nieprzyjaciela. W takich razach niedźwiedź biały zdobywa się również na przebiegłość. Gdy tylko na bezkrańcowym całunie śnieżnym dostrzeże w oddali czarne punkty, wie już dobrze, że to łup tak gorąco przezeń upragniony i odpowiednio do tego stosuje zbliżenie się swoje do foki, pogrążonej w drzemce.

Każdą chwilę, w której foka trwożliwie rozgląda się dookoła, przepędza on przyczajony z zapartym oddechem, bielą futra swego nie różniący się niczem od otaczającego śniegu.

Dopiero, gdy dzieli go od nieszczęsnej ofiary przestrzeń kilkometrowa, rzuca się na nią śmiało, i jeżeli foka nie zdoła schronić się do wody, biada jej — nic już uratować jej nie zdoła.

— Czy to prawda profesorze — zagadnął Korchut — że niedźwiedź biały jest nieustraszony, że wogóle uczucie trwogi jest mu obcem, i że atakuje on nieraz całe oddziały marynarzy, zbrojnych w broń palną?

— Prawda! — przytwardził profesor — a to dlatego, że nie przywykł on mierzyć siły swoje w równej walce z jakimkolwiek przeciwnikiem, gdyż takiego nie zna na całym lądzie podbiegunowym.

Zdarza się nieraz, że płynie śmiało ku sza-

łupie, zajętej przez kilkunastu majtków i w nierównej walce znajduje śmierć niechybną.

Niepokoją one nieraz podróżnych do bieguna oraz rybaków w ich chatkach zimowych, zwłaszcza gdy zwierzą zapasy spiżarniane. Usiłują nawet niekiedy dostać się do wnętrza chat, lecz powitane oszczepem lub kulą, nie przedłużają oporu i uchodzą z niczem.

Złapać je żywcem na przynętę jest bardzo trudno, gdyż przebiegle bardzo, z całą ostrożnością odkopują z pod śniegu mięso, stanowiące oną przynętę, i przekonawszy się, że żadne niebezpieczeństwo im nie grozi, pożerają je.

— A czy one śpią zimą, tak jak nasze niedźwiedzie? — zapytała znów panna Marynia.

— Nie, zimowego snu niedźwiedź polarny zupełnie nie używa, przeciwnie, przez cały rok jest czynnym. Latem cofa się na lądy, żyje korzonkami i wogóle tem wszystkim, czego mu dostarczyć może skąpa roślinność krain dalekiej północy. Lecz razem z mrozami powraca na wybrzeża morskie. Nadzwyczaj charakterystycznym jest, że te zwierzęta, zaliczone do rzędu najdrapieżniejszych, odznaczają się szczególną czułością względem swego potomstwa. Matka w obronie małych, według opowiadań myśliwców, zdobywa się w chwilach grożącego im niebezpieczeństwa na czyny prawdziwie bohaterskie.

W czasie opowiadania profesora, dwaj marynarze: Jost i Kabatek, pod kierunkiem Krem-py, zajmowali się energicznie obdzieraniem niedźwiedzi ze skóry oraz dzieleniem ich na części. Skóry te, wyprawne, służyć miały potem za ozdobę pałacu pana Bonieckiego, z mięsa zaś imć pan Kleofas wyprawić miał ucztę.

Zabrał się energicznie do pracy, zwłaszcza, że pan Boniecki powiedział mu, iż z racyi ocalenia panny Maryni przez Stańczaka, od niechybnej śmierci, ma być wydana uczta wspólna.

To też, gdy wszyscy zasiedli do stołu i ukazały się na nim dzieła pomysłowości kulinarnej imć pana Kleofasa, przyrządzone przeważnie z niedźwiedziny, rozległ się jednomyślny głos uznania i zachwyty.

Kilkunastoma butelkami wina z zasobnej piwniczki pana Bonieckiego zalano tę ucztę, potem wszyscy wrócili do swoich zajęć.

Składanie aeroplanów postępowało z każdym dniem naprzód. Stanął wreszcie szkielet jednego z nich, pozostawało tylko wprawić szkła, stanowiące ścianki komór, a mające chronić przed wpływami atmosfery zewnętrznej.

— Jutro już — rzekł pewnego dnia wieczorem z zadowoleniem Jerlicz — będziemy mogli wypróbować «Orła» i przystąpić do składania drugiego aeroplanu.

Niespodziewana jednak przeszkoda pokrzy-

zowała plany jego i próbę odbyć mógł dopiero następnego dnia.

Mianowicie, gdy wszyscy, znużeni całodzienną pracą, legli na spoczynek, pozostawiając na straży okrętu jednego kadeta Majewskiego, zakradły się cztery olbrzymie niedźwiedzie białe na pokład i zaczęły tam gospodarować.

Przerażony Majewski schronił się przed ich natarciem na wielki maszt i strzałami z rewolweru starał się nietyle ich odpędzić, ile zaalarmować śpiącą załogę.

Strzały odniosły skutek. Porwali się wszyscy ze znu i czempredziej wybiegli na pokład, ażeby dowiedzieć się o przyczynie tego alarmu.

Stanęli, jak wryci, na widok tego, co działo się na pokładzie. Cztery olbrzymie niedźwiedzie białe figlowały sobie rozkosznie, jak małe kociaki, rozrzucając wszystko, co było przygotowane do wykończenia «Orła».

Jeden z nich, siedząc na tylnych łapach, przyglądał się uważnie szlifowanym szybom, wreszcie tłuc począł jedną za drugą, ciesząc się widocznie odgłosem, jaki wydawały, drugi znów starał się pogiąć i połamać sztaby aeroplanu, podczas gdy dwa inne ciągnęły za druty, wiodące do dynamomaszyny.

Razem z innemi wypadł na pokład i Jerlicz i na ten widok ogarnął go istny szal wściekłości. W porywie jej, nie namyślając się dłu-

go, porwał za korbę maszyny elektrycznej i zaczął nią szybko obracać.

Skutek był piorunujący. Rażone siłą prądu elektrycznego niedźwiedzie, które trzymały się drutu, wić się poczęły w męce, rycząc glucho z bólu. Chciały się oderwać od drutu, lecz nie mogły.

Te ich szamotania się i ryki zwróciły uwagę dwóch pozostałych niedźwiedzi, które porzuciwszy swą czynność, zbliżyły się do nich, jakby chcąc przekonać się, co może być przyczyną tego dziwnego ich postępowania.

Przez chwilę przyglądały się im, wreszcie same schwytały drut, jakby chcąc uwolnić od niego swoich braci.

Lecz i one naraz rażone siłą prądu, przykute zostały do fatalnych drutów i wbrew swej woli wykonywać musiały podobne skoki, głuchym rykiem wyrażając swój ból i wściekłość.

A Jerlicz zapamiętałe kręcił korbą maszyny, potęgując coraz bardziej siłę prądu.

Widok tych podskakujących i szamocących się niezgrabnie olbrzymich bestji, pomimo całej grozy, tak dalece był komicznym, że wszyscy zebrani na pokładzie parsknęli śmiechem.

Była to widocznie rodzina niedźwiedzia, złożona z samca, samicy i dwojga małych, która wybrała się za łupem. Znęcone zapachem, płynącym z okrętu, a mile głaszczącym

ich powonienie, zakradli się na niego, w nadziei, że się pożywią.

Tymczasem spotkało ich tam, niezbyt gościnne przyjęcie.

Szarpały się i szamotały tak silnie, iż zdawało się, że druty nie wytrzymają i pękną zaraz. A wtedy sytuacja z komicznej mogłaby się stać groźną.

Pierwszy zorjentował się w położeniu Stańczak i zawołał:

— Trzeba je zabić jak najprędzej, gdyż może być nieszczęście.

Wpadł do kajuty wraz z panem Bonieckim, a po chwili wrócili obydwaj, uzbrojeni w karabiny.

— Bierzmy na cel stare!.. — zawołał Boniecki.

Wymierzyli, przykładając lufy prawie że do łbów potwornych bestji, rozległ się huk strzałów i obydwaj niedźwiedzie, rażone śmiertelnie kulami, runęły martwe na pokład, drgając w mękach konania.

Na ten widok pełen lęku i bólu ryk wydarł się z gardzieli młodych niedźwiadków... Zaczęły się jeszcze więcej szamotać i szarpać, jakby chcąc ująć przed grożącym im widmem śmierci.

Już obydwaj strzelcy zbliżali się do nich, by zastrzelić je, gdy naraz stanęła przed nimi pan-

na Marynia i z prośbą w oczach mówić zaczęła:

— Ojczulku, nie zabijaj ich, niech idą wolne, dość i tak mają kary i męki.

Zawahał się pan Boniecki, lecz Stańczak w jednej chwili odrzucając na bok karabin, zawołał:

— Hej, chłopcy! dać mi linkę, a mocną, jak najprędzej.

Zdziwieni jego żądaniem podali mu mocną linkę, a on, zrobiwszy na końcu jej pętlę, zbliżyć się zaczął do jednego z niedźwiadków.

Wszyscy ze zdumieniem patrzeli się na niego, czekając, co zamierza zrobić. Tymczasem, Stańczak zarzućwszy pętlę na przednie łapy niedźwiadka, krępować go zaczął linką tak, ażeby nie mógł się ruszać.

W mig zrozumiał Peński myśl jego, i porwawszy za drugą linkę, wiązać nią zaczął drugiego niedźwiadka. W chwilę potem leżały obydwa skrupowane u stóp swoich pogromców, patrząc na nich wystraszonemi ślepiami.

Jerlicz przerwał prąd, i łapy niedźwiadków zostały uwolnione.

A wtedy Stańczak przy pomocy Krempy i Kabatka ujął jednego, Peński z Jostem i Baurem drugiego, i ponieśli ich do panny Maryni, składając zdobycz u jej stóp.

Zapłonila się z radości i rzekła:

— Dziękuję... dziękuję bardzo panom... Ale

tylko gdzie ja trzymać ich będę?.. — zapytała z zakłopotaniem.

— O to, proszę pani, niema kłopotu — odparł Peński — dziś jeszcze na wieczór stanie gotowa klatka, w której obydwa ci panice znajdą schronienie, i w której przewieźć je można będzie do Warszawy.

— Tak — przyświadczył pan Boniecki — tam puścić luzem, by odgrywały rolę piesków pokojowych... Daleko lepiejby było w łeb im wypalić.

Lecz córka tak go prosiła, że ustąpił wreszcie i przystał na zachowanie niedźwiadków przy życiu.

Peński zajął się zaraz budową klatki przy pomocy Krempy i Josta, lokując tymczasem skrupowanych niedźwiadków pod pokładem.

A na pokładzie zajęto się przywracaniem do porządku wszystkiego po spustoszeniach, sprawionych przez niedźwiedzi.

Zabite olbrzymie bestje ściągnięto na lód, gdzie Kabatek zajął się ich oprawianiem.

Jerlicz tymczasem ze Stańczakiem badał stan szkód, wyrządzonych przez nie w budowanym aeroplanie.

Na szczęście ograniczyły się one potłuczeniem kilkunastu szkieł, i te zastąpione być mogły przez szkła zapasowe, których przezorny Stańczak miał dwie skrzynie na spodzie okrętu.

X.

W przestworzach.

Ukończono wreszcie pracę przy składaniu aeroplanów. Na pokładzie «Polonji» stanęły obok siebie dwa aparaty, lekkie, błyszczące wszystkimi częściami z metalu, z wznoszącymi się na nich klatkami szklanymi.

Zaopatrzone je we wszystko potrzebne i Jerlicz, wsiadłszy do «Orla» wraz ze Stańczakiem i Peńskim, przekreślił rączkę maszyny elektrycznej.

«Orzeł» lekko wznosił się z miejsca do góry i znalazłszy się na wysokości paruset metrów, począł zataczać lekkie koła.

Przez godzinę prawie unosił się w przestworzach, dokonywując z niezwykłą precyzją i lekkością przeróżne zwroty. Wreszcie opuścił się na pokład, na toż samo miejsce, z którego się wznosił.

— Znakomicie! — zawołał Jerlicz, wyskakując na pokład—możemy jechać na nim choćby natychmiast a rączkę, że nie spotka nas los Andrégo.

Wypróbowano jeszcze sprawność drugiego aparatu, który otrzymał nazwę «Sokoła».

I ten działał również znakomicie.

Wobec takich wyników prób, postanowiono puścić się w drogę tegoż jeszcze wieczora.

Według dokonanych pomiarów «Polonja» znajdowała się pod 74° 15' szerokości północnej.

— A więc jutro, o tej porze, wieczерę spożywać będziemy na biegunie — zawołał Jerlicz — a za trzy dni spodziewajcie się nas państwo z powrotem.

Zajmowano się ostatecznym wyekwipowaniem obydwóch aeroplanów, przyczem pan Kleofas Żarnicki tak obficie zaopatrywał śpiżarnię, jakby wycieczka trwać miała parę tygodni. Aż zwrócił uwagę na to Peński i zawołał:

— Ależ panie Kleofasie!... co pan robił.. Wszakżeż tego jedzenia wystarczy najmniej na dwa miesiące, a przecież my najpóźniej za trzy, cztery dni wrócimy.

— Niewiadomo, panoczku — odrzekł stary kucharz — powiadają, że tam, na biegunie straszne wiatry wieją... A nuż zanoszą one panoczków gdzie daleko, na drugą stronę świata... Lepiej niech panoczkowie będą zaopatrzeni należycie.

Skompletowano zapas narzędzi meteorologicznych najnowszych i najlepszych systemów, zabrano broń i naboje do niej na wszelki wypadek, pozostawało tylko wsiadać do aeroplanów i jechać.

Komendę nad pierwszym aeroplanem objął miał Stańczak, a towarzyszyć mu mieli Jerlicz i profesor Narbutt.

Drugi, rezerwowy, prowadzić miał Peński, a towarzyszyć mu miał kadet, Józef Majewski.

Wielką chęć towarzyszyć im mieli wszyscy prawie członkowie załogi, lecz, niestety, «Polonja» nie mogła pozostać bez obsługi.

Mieli oni przez tydzień czasu czekać na powrót aeroplanów, a gdyby ten po tym czasie nie nastąpił, postarać się o uwolnienie go z ławicy lodowej, popłynąć jaknajśpieszniej do Hammerfestu, tam skompletować załogę z Norweżczyków i dążyć czempędzej w stronę biegun, na poszukiwanie przypuszczalnych ofiar wypadku.

Niezależnie od tego przez cały czas utrzymywać mieli połączenie z sobą przy pomocy telegrafu bez trudu.

Nadeszła wreszcie godzina odjazdu. Wszystko było do niego gotowe, gdy naraz panna Marynia, zwracając się do Jerlicza, spytała:

— Czy podróż tym aeroplanem przedstawia jakiegokolwiek niebezpieczeństwo?

— Najmniejszego, proszę pani — odrzekł zapytany — lecz dlaczego mnie pani o to pyta?

— Słyszysz, ojczulku — zawołała panna Marynia, wieszając się u ramienia ojca — słyszysz? podróż ta żadnego, ale to żadnego niebezpieczeństwa nie przedstawia. Wszak już przy próbie odbyliśmy podróż nie wiele mniejszą.

Dlaczegobyśmy nie mieli wziąć udziału i w tej podróży?..

— Co! — zawołał zdumiony pan Boniecki — tybyś chciała odkrywać biegun północny? Ależ to niebezpieczne... nie mogę narażać cię na to... Zresztą aeroplan nie uniesie tyle osób.

— Słyszysz pan, panie Jerlicz — rzekła filuternie panna Marynia — ojczulek podróż aeroplanem pańskim nazywa niebezpieczną i wątpi, czy będzie on zdolny unieść więcej osób?

— Co — zawołał podrażniony w swej ambicji wynalazca — podróż moim aeroplanem jest niebezpieczną?.. A toż stokrotnie ona jest bezpieczniejszą od przejażdżki samochodem po Alejach Ujazdowskich, a ciężar nawet dziesięć razy większej ilości ludzi jest dla niego niczem...

— Słyszysz, ojczulku — z przymilającym uśmiechem rzekła panna Marynia — zdaje się, że wobec takiego twierdzenia pana Jerlicza nie powinienes stawiać dłużej oporu mej prośbie.

Roześmiał się pan Boniecki i rzekł:

— Cóż z tobą poradzić, filutko... Umiesz zawsze tak przemówić, że nawet i mnie, starego, przekonasz. Pamiętaj tylko, byś potem nie żałowała tego.

Podskoczyła z radości panna Marynia, uwieściła się u szyi ojca i całując go gorąco, wołała:

— Nic mi się nie stanie... nic, ojczulku..

Z tobą i z panem Stańczakiem mogę bezpiecznie jechać, choćby nawet do bieguna... Mój dobry, kochany ojczulku!

I ucałowawszy go raz jeszcze gorąco, skakać po pokładzie z radości zaczęła, wołając głośno:

— Jedziemy!.. jedziemy!.. jedziemy...

Przywoławszy Basię, zajęła się pakowaniem niezbędnych rzeczy.

Pan Kleofas, widząc, że liczba osób, puszczających się w drogę, powiększa się, chciał odpowiednio zwiększyć zapasy spiżarniane, lecz przeciw temu zaprotestował energicznie Stańczak. Opróżniono tylko jeden z przedziałów «Orła», i przygotowano tam wygodne, ciepłe łóżko dla Maryni.

Ładunek «Orła» powiększył się tylko, oprócz pasażerów, dwoma karabinami magazynowymi oraz znacznym zapasem naboju.

— No, wszystko gotowe—rzekł Jerlicz, który aż drżał z niecierpliwości—możemy już jechać.

Zajęli wszyscy miejsca w aeroplanach, rozległ się sygnał, Stańczak pokręcił rączkę maszyny elektrycznej: «Orzeł» majestatycznie wznosić się począł do góry.

Za nim wkrótce podążył i «Sokół», starając się trzymać tuż obok niego.

Żegnały ich okrzyki, powiewanie czapkami oraz strzały wiwatowe pozostałej na «Polonji» załogi.

Znalazłszy się na wysokości pięciuset metrów, powstrzymał Stańczak wznoszenie się do góry «Orła» i skierował go w stronę północną.

Jerlicz z zegarkiem w ręku patrzył na przyrząd do mierzenia szybkości.

— Dwa i pół kilometra na minutę—rzekł wreszcie—sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę... Ładna szybkość... Więcej niż jeden stopień na godzinę...

— A więc za kilkanaście godzin staniemy na biegunie?—zapytał pan Boniecki.

— Tak jest—odrzekł Jerlicz—o ile nie stanie nam co niespodziewanie na przeszkodzie...

«Orzeł» i «Sokół» mknęły naprzód całą siłą swych maszyn elektrycznych.

Pod nimi oraz przed nimi rozciągał się krajobraz smutny, jednostajny... Wielka płaszczyzna lodowa, zasłana śniegiem, z wznoszącymi się gdziegdzie do góry wzgórzami...

Nigdzie, przed nimi nie widać było ani śladu istoty ludzkiej... Ożywiały ją tylko od czasu do czasu ukazujące się stada ptaków podbiegunowych, oraz snujące się po zwałach lodowych niedźwiedzie białe.

Profesor Narbutt siedział przed wywieszonym nazewnątrz termometrem i barometrem i szczegółowo zapisywał wszystkie ich wahania.

W miarę posuwania się na północ temperatura spadała coraz bardziej. Gdy dosięgli 80° szerokości północnej, wynosiła 47° zimna.

— Ciekaw jestem—rzekł Boniecki do prof. Narbutta — co znajdziemy tam na biegunie... Czy taką, jak tu, pustynię lodową, czy też wolne morze?..

— Nie wiadomo—odrzekł zapytany—uczeni stawiają co do tego różne hipotezy. Z punktu, do którego człowiek dotarł, daleko jeszcze do bieguna. Jeden z najuczestniejszych geometrów naszego stulecia, Plana, w memorjale swoim mówi o wzrastającym cieple słonecznym, które stwierdzili wszyscy, przebywający przestrzeń od granic koła podbiegunowego ku biegunowi. Wyprowadził on stąd wniosek, że na biegunie samym stopień tego ciepła musi być wystarczającym zupełnie, ażeby na nim można było oprzeć prawdopodobieństwo morza wolnego od lodów, a jeśli nie wolnego bezwzględnie, to przynajmniej oswobodzonego od nich przez pewną część roku.

Jeszcze w roku 1821 Dawid Brewster udowodnia w pracy swojej, traktującej o temperaturze naszego globu, że ta temperatura u bieguna musi być koniecznie o 19 stopni wyższą, niż w całym kole arktycznym. Inni, stwierdzając to przypuszczenie, przypisywali większą ciepłotę biegunową pewnemu rozgałęzieniu Galfstreum, który po ogrzaniu zachodnich wybrzeży Szpicbergu, przenika do morza śródbiegunowego, ażeby ogrzać jego fale.

I tak wielorybnicy holenderscy twierdzili

kategorycznie, że przekroczywszy 89° znaleźli się na morzu wolnem od lodów; jeden z towarzyszy podróży d-ra Kane, Marton, utrzymuje, że gdy się dostał na saniach po za 81° szerokości północnej, w ciągu lata 1854 r. ujrzał na własne oczy z wyżyny 500 metrów rozciągającą się bezbrzeżną płaszczyznę wód w kierunku ku biegunowi. Znacznie wyższa temperatura, bogatsza roślinność morska, śniegi stopniałe, niezliczone ćmy ptactwa morskiego — wszystko to, razem wzięte, wpoilo mu niezachwianą wiarę we względną łagodność klimatu podbiegunowego.

Jeszcze później, bo już w r. 1861 doktor J. Hayes, amerykańnik, posunął dalej jeszcze ku północy badania swoje, i doszedłszy do brzegu przeciwległego kanałowi Kennedy aż do 82°30' szerokości północnej, ujrzał tam, wedle zapewnienia swoich, morze wolne od lodów na przestrzeni 900 przynajmniej kilometrów w kierunku bieguna.

Lecz odzywały się również i głosy, twierdzące wprost przeciwnie o istnieniu tego wolnego morza.

Do tych właśnie zdań zaliczyć należy wyprawę austriacką pod kierunkiem admirała Tagethofa, która mianowicie w r. 1872 odkryła ziemię Franciszka-Józefa. Zapuściwszy się na północ, po za 82° szerokości, znalazła tam nie żadną wolną od lodów powierzchnię wodną,

ale raczej mały zbiornik wody bieżącej, otoczonej ze wszech stron lodową równiną, dotykającą północnym krańcem do jakichś lądów nieznanych.

W roku 1873 nieszczęśliwy dowódca okrętu «Polaris», kapitan Hull odkrył tylko nową zamarzlą cieśninę, która właściwie była przedłużeniem cieśniny Kennedy'ego.

Również w r. 1875 trzem dowódcom okrętów: Markham'owi, Aldrich'owi i Beaumont'owi, zdawało się, że i oni znaleźli owo morze, lecz po dalszej podróży przekonali się, że hen, w dal, aż po za 83° szerokości północnej ciągnęło się morze lodowe.

Nansen znów w sprawozdaniu swoim, ani zaprzecza, ani potwierdza tę hipotezę, a natomiast wszystkiego stawia przypuszczenie, że po tamtej stronie bieguna, pomiędzy nim a archipelagiem Amerykańskim musi znajdować się ląd znacznej rozległości.

Lecz wszystko to są tylko hipotezy...

— Prawdziwość których sądzonem może będzie nam sprawdzić — wtrącił pan Boniecki.

— A może Prusakom na Zeppelinie — zauważył Jerlicz.

— Ciekawa rzecz, jak daleko mogli posunąć się na północ — wtrącił Stańczak.

— O ile wyruszyli w drogę wkrótce po nas, i balon swój przygotowali do wzlotu prędkiej, a mogli dokonać tego, rozporządzając większą

ilością rąk do pracy od nas, to mogli przy szybkości Zeppelina 60 kilometrów na godzinę, wyprzedzić nas o parę stopni — rzekł profesor.

— Co! — zawołał Jerlicz — oni - by mieli nas wyprzedzić?.. Nie, to niemożliwe. To nigdy stać się nie może.

I spojrzawszy na barometr, zawołał:

— Jesteśmy już pod 80° szerokości północnej... Jeszcze 8 godzin jazdy podobnej, a staniemy na biegunie. Prusacy musieliby wyprzedzić nas przynajmniej o 20 godzin, ażeby stać pierwszymi na biegunie.

— Czas to pokaże — rzekł pan Boniecki.

I wszyscy, jakby opanowani jakimś pełnym trwożnego niepokoju oczekiwaniem, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, wypatrywali, czy nie unosi się na jasnym, skąpanym w promieniach słońca horyzoncie ciemna plama, zwiastująca, że Zeppelin wyprzedził ich w podróży.

Stańczak użył nawet w tym celu lunety.

Lecz nigdzie nic nie było widać.

Niebo było jasne, czyste, a dołem rozścięła się bezbrzeżna lodowa pustynia.

«Orzeł» i «Sokół» mknęły przed siebie jak olbrzymie ptaki, byle tylko prędzej osiągnąć celu.

Wszyscy z wruszeniem i podnieceniem nerwowem wyglądali końca podróży, zapominając nawet o jedzeniu.

Pierwszy przypomniał sobie o tem pan Boniecki, mówiąc:

— Zdaje mi się, że mimo to, iż lotem ptaka zbliżamy się do bieguna, nie powinniśmy zapominać o jedzeniu, a przeciwnie, wzmocnić swe siły, by uczynić je odporniejszymi dla przeniesienia oczekujących nas przygód.

Rada ta podobała się ogólnie, z apetytem też przystąpiono do spożywania zapasów, w które zaopatrzył obydwaj aeroplany imć pan Kleofas.

«Orzeł» i «Sokół» płynęły obok siebie, wobec czego dążący w nich żeglarze porozumiewać się mogli na migi.

Wznoszono wzajemne toasty, przesyłano sobie pozdrowienia.

Minęto już 82° stopień, gdy naraz panna Marynia wpatrując się bystrym swym wzrokiem w bezbrzeżną dal, zawołała, wskazując palcem:

— Tam.. tam!..

A gdy wszyscy zwrócili się w tamtą stronę, ujrzeli leżący na śniegu jakiś olbrzymi przedmiot, ciemno żółtej barwy, około którego kręciła się gromada ludzi...

— Zeppelin!.. To Zeppelin! -- zawołali wszyscy razem, i jakby instynktownie Jerlicz skierował «Orła» w tamtą stronę, a «Sokół» podążył za nim.

Zeppelinowi zdarzyć się musiała jakaś katastrofa, gdyż leżał na lodowcu splaszczony, bez gazu, niezdolny do dalszego lotu.

Kręcący się obok niego Prusacy spostrzegli również zbliżające się aeroplany i z zadartymi do góry głowami wpatrywali się w nie. Wreszcie zaczęli dawać znaki, jakby wzywając pomocy.

Wśród pasażerów «Orła» przez chwilę trwało wahanie. Co czynić?.. Czy usłuchać ich wezwania i podążyć im z pomocą, czy też pomnąć na ich czyny podstępne i zbrodnicze, pozostawić ich bez pomocy i ratunku, na pastwę losu?

Jerlicz pytająco spojrział na pana Bonieckiego i Stańczaka, jakby u nich chcąc zasięgnąć rady...

Pan Boniecki odpowiedział mu na to nieme pytanie:

— Zniżmy lot i zapytajmy się ich, czego mogą żądać od nas... W razie potrzeby należy udzielić im pomocy, o ile to tylko leżeć będzie w naszej mocy.

— Ależ — usiłował zaprotestować Jerlicz — po tem, co oni chcieli nam zrobić, nasyłając przekupionego zbrodniarza.

— Panie Jerlicz — rzekł z powagą Boniecki — pomnij o tem, że jesteśmy Polakami... A nazwa Polak była zawsze synonimem szlachetności. Tem też tylko zemścić się możemy na nich za czyn choćby najnikczemniejszy.

Jerlicz nie oponował dłużej, lecz przesunawszy rączkę maszyny, opuścił aeroplan tak nisko, że znalazł się na wysokości 50 metrów.

XI.

Przygoda Prusaków.

Po wyjeździe «Polonji» z Hammerfestu «Germanja», nie chcąc się dać wyprzedzić współzawodnikom, w parę godzin potem wyruszyła w dalszą drogę.

Nie znając kierunku «Polonji», wybrali najbliższą drogę na północ, pragnąc dotrzeć do Spicbergen.

W czasie podróży otrzymali telegrafem bez drutu wiadomość z Hammerfestu, o ujęciu na zbrodniczym uczynku na «Polonji», Zygryda von Brunow, o sądzie nad nim i wydanym wyroku.

— Donervetter! — zaklął gniewnie Fryderyk Wilhelm Ritter von Jagow, jeden z głównych przewodników H. K. T. — a to błazen, dać się tak złapać tym dummen Polaken. Nie wykonał tego, do czego się zobowiązał! Dobrze mu tak, niech ginie!

Na tę tyradę szlachetnego kapitana «Germanji», odezwał się herr Johann Meier, prof. uniwersytetu berlińskiego, stojący na czele prawy naukowej.

— Zle robisz, kapitanie, że dajesz się unieść gniewowi i nie chcesz ratować tego Brunowa.

— Jaktó? — zawołał kapitan — pan go broni, profesorze?.. Ma osioł to, na co zasłużył! Dlaczego był niezgrabny?

— Tak — przytwierdził mu herr Meier — nie przeczę panu zupełnie, że nicby nie szkodziło, ażeby ten osioł za niedołęstwo swoje skąpał się w morzu potężnie. Ale zapominasz pan, że znajdując się na okręcie Polaków, musiał dostrzec i posłyszeć wiele ich tajemnic, z których my odpowiednią korzyść wyciągnąć zdołamy. Dla tego to właśnie należy go wyratować z odmętów morskich, a potem, potem... pal go kaci! Może go pan znów puścić w jego łodzi na otwarte morze.

Po takiej argumentacji, niezbyt ludzkością tchnącej, przyznać musiał kapitan Ritter von Jagow słusność uczonemu profesorowi i polecił skierować okręt pod długość i szerokość, wskazane w depeszy.

Znajdowali się od niego o półtora prawie stopnia odległości.

Po dziesięciu godzinach forsownej jazdy dotarli tam i bacznie przeglądając zaczęli powierzchnię morza, czy nie dostrzegą gdzie łodzi z Brunowem.

Nie było go nigdzie widać!

Poczęli więc krążyć wokoło, coraz szersze zataczając koła i dając przytem donośne sygnały syreną. Wreszcie o 1 stopień na wschód dostrzegli unoszoną przez fale łódź, a w niej

stojącą postać ludzką, dającą rozpaczliwe sygnały za pomocą wymachiwania białą choroągwią.

Skierowali się w jego stronę.

Był to Brunow!

Rzucono mu z pokładu drabinkę sznurową, po której wdrapał się na niego.

Zmęczony był i wyczerpany strasznie kilkunastogodzinną walką z żywiołem, z trudem trzymał się na nogach.

Zaprowadzony do kajuty kapitana, zdołał zaledwie wyszeptać:

— Grogui! i padł nawpół przytomny na stojący obok fotel.

Podano mu wody z wódką i po wypiciu jej odetchnął z pewną ulgą.

Kajuta napelniała się. Wszyscy uczestnicy wyprawy ściągali do niej, chcąc być obecnymi przy zeznaniach Brunowa.

Pierwsze słowa, jakie z ust jego wyszły, były gradem przekleństw na podłych, nikczemnych Polaków.

— Spokojniej trochę, panie — mitygował go profesor Meier — opanuj swój gniew i opowiadaj nam wszystko poporządku!

Uspokoił się trochę von Brunow i już w znacznie łagodniejszym tonie opowiadał przygody swoje od czasu dostania się na «Polonję» w Gdańsku. A więc brak zaufania do niego ze strony Stańczaka, następnie zepsucie przez

siebie maszyny w czasie burzy koło wybrzeży norweskich, tajemniczy motor, zastosowany przez Jerlicza, a czerpiący energję z morza...

Z szeroko otwartemi ze zdumienia oczami słuchali uczeni pruscy tej relacyi. A więc może istnieć zagadkowa maszyna jakaś, nie wynaleziona przez Niemca?

Czyż Polacy są zdolni do takich wynalazków? Nie, to niemożliwe.

Z niemniejszym zaciekawieniem słuchali odpowiedzi von Brunowa na zapytanie profesora Meiera:

— Czy myślą okrętem swoim dotrzeć do bieguna?

— Nie — odparł Brunow — o ile mogłem doślyszec, zamiarem ich jest dopłynąć okrętem do pierwszego lądu, stamtąd zaś podążyć drogą powietrzną, zdaje się aeroplanem. Jakiej jest on konstrukcji — nie wiem, gdyż trzymali to w tajemnicy. Wiem tylko, że znajdował się rozebrany na części i zapakowany w skrzyniach w składach okrętu, gdzie chciałem podłożyć mój naboik. Słyszałem tylko od marynarzy, że skrzynie niektóre były tak lekkie, jakby w nich nic się nie znajdowało.

Relacja ta wielce zastanowiła wszystkich uczonych Prusaków. A więc i Polacy chcieliby podążyć do bieguna powietrznym szlakiem. Niedoczekanie ich jednak... Gdzie się tam ich

aeroplanom mierzyć z potężnym Zeppelinem, szczytem doskonałości aeronautycznej, sławą Prus! Należy tylko przyspieszyć wyjazd, nie dać się wyprzedzić Polakom!

Prof. Meier zwrócił się do kapitana von Jagow'a.

— Kapitanie, jak daleko stąd może się znajdować jakiśkolwiek ląd?

Zapytany spojrzął na mapę i odrzekł:

— W odległości kilkuset kilometrów. Lecz jeżeli panu idzie o przygotowanie Zeppelina do drogi, to sądzę, że pierwsza lepsza ławica lodowa może do tego służyć, a tych tu można napotkać niemało.

Von Brunow, napojony obficie grogiem i piwem, udał się do jednej z wolnych kajut na odpoczynek, w oczekiwaniu sowitej nagrody, jaką go wdzięczna «Germanja» w osobach członków związku H. K. T. obdarzyć miała za trudy i poświęcenie.

Kapitan von Jagow, po krótkiej naradzie z uczonymi członkami wyprawy, polecił skierować «Germanję» na północ.

Szczęście im sprzyjało. Zaledwie przejechali dwieście kilometrów, gdy natknęli się na olbrzymią ławicę lodową; na poszukiwanie takiej straciła «Polonja» około dwóch dni czasu.

Po wszechstronnem zbadaniu, czy będzie odpowiadała potrzebie, przystąpiono do pracy. Z czeluści składów «Germanji» wydo-

byto powłokę Zeppelina i przy pomocy specjalnego przyrządu, poczęto napełniać ją gazem.

Wobec znacznej ilości rąk pomocniczych robota szła żwawo i po upływie trzech dni wypełnianie zostało skończone.

Kwestja przymocowania gondoli z motorem trwała już niedługo, tak że na trzeci dzień zrana mógł balon wyruszyć w drogę.

— Udajemy się na przejażdżkę — żartował prof. Meier, składając w gondoli Zeppelina różne instrumenty, potrzebne do pomiarów — za 30 godzin powinniśmy stanąć na biegunie, a za 3 dni najdalej wrócić z powrotem.

To też na wycieczkę tę zgłaszało się tylu amatorów, że nawet dwa Zeppeliny miałyby kogo zabierać.

Prof. Meier robił wybór wśród uczestników wyprawy i zgodził się tylko na udział pięciu uczonych geografów i przyrodników, dwóch oficerów marynarki, oraz niezbędnej obsługi łodzi, w osobach pilota i dwóch jego pomocników.

Krzywił się ten ostatni na takie obciążenie łodzi balonu, lecz nie można było zabrać mniej osób.

Przy radosnych i tryumfalnych okrzykach: «Hoch!» i wystrzałach z dział «Germanji» wzniósł się majestatycznie Zeppelin do góry i zakreśliwszy w powietrzu prawidłową ósemkę, pomknął w stronę północy.

A w ślad za nim brzmiały pełne tryumfu okrzyki «Hoch!» i strzały działowe.

Rzeczywiście, balon płynął w przestworzach znakomicie, bez najmniejszych wstrząśnień, prosto w kierunku bieguna, posłuszny woli swego sternika.

Prof. Meier zasiadł przy barometrze i z uwagą śledził przebytą przestrzeń. Tryumfalnie też co dwie godziny wygłaszał przebycie jednego stopnia szerokości północnej.

Tak przebyto 75, 76 i 77°. Ominięto wreszcie i 78°, gdy naraz balon powoli zaczął zniżać swój lot.

Zaniepokoiło to trochę pilota, wyrzucił jednak część balastu i Zeppelin wzniósł się znów do góry.

Przebyto w ten sposób i 79°, gdy znów w locie balonu uczuwać się dała pewna nierówność, znów zaczął się opuszczać w dół.

Zaniepokojenie swe pilot udzielił profesorowi Meierowi.

— Na długo mamy balastu?... — zapytał tenże.

— Wystarczy jeszcze na dwa razy—odparł zapytany.

— A więc potem będziemy wyrzucać zapasy żywności, gdyż i tak mamy jej za dużo, wobec tego, że podróż cała ma potrwać tylko 3 dni.

— A gdy te wyrzucimy? — spytał spokojnie pilot.

— Wyrzucimy nie koniecznie potrzebne narzędzia i instrumenty, zachowując tylko niezbędne.

— A później? — pytał dalej pilot—gdy i to okaże się zamało?

Na to spokojne zapytanie prof. Meier nie umiał dać odpowiedzi, lecz z wyrazu twarzy jego łatwo można było poznać, że ażeby dopiąć celu, gotów był poświęcić nawet jednego z towarzyszków podróży.

Przebyto wreszcie i 80° i 81°, wyrzucając resztę balastu, wreszcie po przebyciu 82° motor zaczął kapryścić i na koniec przestał działać zupełnie.

Celem dokonania niezbędnej poprawy należało opuścić się na ziemię.

Dokonał tego pilot i gdy wyszli z gondoli, oczom ich przedstawił się następujący widok.

Cały wierzch balonu okryty był grubą warstwą śniegu i lodu, jaka zebrała się na nim w czasie drogi. Znaleźli też wyjaśnienie tego, dla czego balon opuszczał się powoli i stopniowo na dół.

— Trzeba oczyścić balon z lodu i śniegu—rzekł pilot—gdyż inaczej nie dotrzemy do celu.

To rzekłszy, wraz z pomocnikami, po siatce, otaczającej balon, a do której przymoco-

waną była gondola, wdarł się na wierzch balonu i zabrał się do oczyszczania go.

Podczas tego uczeni krążyć poczęli w okolicy, robiąc poszukiwania i przeprowadzając badania. Robota postępowała szybko naprzód, trzy czwarte balonu były już oczyszczone, gdy naraz rozległ się głuchy huk, trzask i dziwne jakieś syczenie.

Wydęty dotychczas balon zmieniać zaczął swą formę, spłaszczając się, tak że oczyszczający go pilot z pomocnikami spadli na ziemię, tłukąc się dotkliwie.

A balon tymczasem coraz bardziej zmienił swą postać, wreszcie spłaszczył się zupełnie i jak zmięta szmata runął na lód.

Tę nagłą metamorfozę dumnego i potężnego Zeppelina dostrzegli z oddali rozrzucony wokół uczeni pruscy i porzucając wszystko, pędem przybiegli do miejsca katastrofy.

Znaleźli tam leżących na lodzie i jęczących głucho z bólu, potłuczonych dotkliwie, pilota i pomocników jego, oraz opadłą zupełnie powłokę balonu.

— Co się stało? co takiego? — spytał przerażony prof. Meier pilota.

— Co się stało? — odrzekł tenże, jęcząc głośno — gaz się ulotnił... balon nie jest obecnie zdolny do podróży...

— Co! co pan mówi!? — zawołał pobladły profesor...

Pilot powtórzył swą odpowiedź.

Podziałała ona na prof. Meiera jak uderzenie pioruna.

Takiej ewentualności nie spodziewał się zupełnie.

Sytuacja była naprawdę rozpaczliwą. Wobec zupełnej niezdatności balonu do podróży, nie mogli nawet marzyć o posuwaniu się naprzód, zwłaszcza, że nie byli zaopatrzeni ani w sanki, ani w psy pociągowe, a przytem zapasy żywności były bardzo skąpe, tak, że mogły wystarczyć zaledwie na parę dni.

A co potem? Gdy żywności zbraknie i gdy pomoc znikąd nie nadejdzie?..

Pytanie to krwawymi zgłoskami jawiło się przed wzrokiem prof. Meiera.

Jednocześnie prawie stawał przed nim obraz strasznej śmierci w mękach głodowych, wśród pustyń lodowych, nieszczęsnego Andréego i towarzyszy jego.

Czyżby i ich podobny los czekał? Nie, to niemożliwe!

Ratować się trzeba, ratować za wszelką ceną.

W jednej chwili stary profesor pruski odzyskał całą swą energję i sprężystość. Nie wolno rąk opuszczać, nie wolno tracić nadziei. Trzeba obmyśleć sposób ocalenia się...

I zwracając się do pilota, spytał go ostrym głosem:

— Co jest przyczyną wypadku?..

— Nie wiem—odrzekł tenże jęczącym głosem.

— Sprawdź pan to zaraz — rzekł rozkazującym tonem profesor — może się da co uratować.

Przywykły do posłuszeństwa pilot, na tak kategoriyczny rozkaz, tłumiąc w sobie jęki bólu, wstał z trudem i powoli podszedł do powłoki balonu.

Zaczął ją oglądać szczegółowo i przekonał się, że z pięciu balonów, pokrytych ogólną powłoką, dwa pękły, a pozostałe trzy straciły prawie że połowę gazu.

Tej treści raport złożył profesorowi.

— Czy przy pomocy tych trzech balonów możnaby się unieść do góry? — zapytał tenże.

— Najwyżej dwie osoby i to prawie że bez żadnych ładunków — odrzekł zapytany.

Chwilę trwał namysł profesora, wreszcie rzekł stanowczym tonem:

— Proszę, naszykuj go pan czempredziej do drogi. Za dwie godziny wyruszę w dalszą podróż z panem.

Zdziwienie odbiło się na twarzy pilota. Zahałał się przez chwilę, wreszcie spytał:

— A reszta?

— Pozostaną tu—odrzekł stanowczo profesor — proszę, wykonaj pan moje polecenie...

Ale, co stało się powodem pęknięcia tamtych dwóch balonów?

— Wskutek mrozu — odrzekł pilot—okrywający materję kauczuk stał się nadzwyczaj kruchym, tak, że przy najlżejszym nacisku pęka. Przy oczyszczaniu powłoki z śniegu i lodu, naciśnięty silniej, pękł i to się stało powodem wypadku.

— A więc, proszę, uważaj pan, ażeby wypadek ten nie powtórzył się — rzekł profesor do pilota.

Tłumiąc jęki bólu, wychowany w twardej dyscyplinie pruskiej pilot przystąpił do pracy.

O zamiarze swoim profesor nie wspominał nikomu, chcąc uniknąć różnych niepożądanych zajść, a zajmował się pozornie wybieraniem i przygotowywaniem narzędzi i instrumentów, potrzebnych do dalszych doświadczeń.

Pilot pracował gorliwie i po dwóch godzinach zdefasonowany Zeppelin gotów był do lotu.

Uczestnicy wyprawy ciekawie przyglądali się metamorfozie, jakiej uległ.

Przed samem wyruszeniem w drogę przywołał prof. Meier do siebie pomocnika swego, profesora Gustawa Schulz z uniwersytetu w Wrocławiu, i odrowadziwszy go na stronę, rzekł:

— Profesorze! wyruszam zaraz w drogę do bieguna. Proszę was, obejmijcie dowództwo po mnie, i dążcie w stronę «Germanji», która

powinna znajdować się obecnie pod 75° szerokości północnej.

Przez chwilę prof. Schulz wpatrywał się w swego zwierzchnika szeroko otwartymi oczami.

— Co?! — zawołał wreszcie — pan sam dziel? sam... a nas tu pozostawia!

Wykrzyknik ten usłyszeli pozostali uczestnicy wyprawy, domyślili się zaraz jego znaczenia i wnet zwartem otoczywszy ich kołem, pytać się gorączkowo zaczęli:

— Co?.. co takiego?..

A wtedy profesor Schulz, zdjęty oburzeniem, zawołał:

— Panowie!.. patrzcie... oto ten pan, profesor Meier, który niby stoi na czele naszej wyprawy, wybiera się sam w dalszą drogę, a nas chce tu pozostawić na pastwę losu... Jednym słowem, chce sobie uciec w świat bezpiecznie, a my tu mamy marnie zginąć z głodu i zimna!

Słowa te piorunująco podziały na otaczających.

Rozległy się głosy oburzenia i potępienia, oczy błysnęły groźnie, pięści się zacisnęły, a usta zionęły przekleństwa.

Spostrzegł profesor Meier, że sytuacja staje się groźną, że zagrażać mu poczyna poważne niebezpieczeństwo.

Nie namyślając się też długo, nie czekając,

aż zaciśnięte pięści spadną mu na plecy, wskoczył jednym susem do gondoli balonu i zawołał do pilota:

— Przecinaj linę!..

Ten ostrym pilnikiem przeciął szybko grubą linę z drutów sklecioną i w jednej chwili balon wzniósł się do góry.

Nie daleko jednak zdołał ulecieć.

Jeden z przyjmujących udział w wyprawie oficerów marynarki, zdjęty słusznem oburzeniem na ten nieludzki czyn prof. Meiera, nie namyślając się długo, porwał z ramienia karabin magazynowy i raz za razem strzelać zaczął do unoszącego się do góry balonu.

Kula za kulą razila mknący w przestworzach balon a strzały odniosły skutek.

Przedziurawiona kulami powłoka balonu przepuszczać poczęła gaz, i balon po jakimś czasie, powoli, acz stale opadać zaczął w dół.

Po paru minutach spoczął znów na ziemi, a profesor Meier, wypadłszy jak z procy z gondoli, gradem obelg miotać zaczął na zebranych wokół.

Ci mu również odpowiadać zaczęli w najmniej grzeczny sposób. Oczy błyszczały gniewnie, pięści zaciskały się złowrogo i Bóg wie do czego by doszło, gdyby nie nagły wykrzyknik jednego z uczestników wyprawy:

— Patrzcie!.. Tam, tam... w górze... nad nami!

W jednej chwili zaprzestano walki i wszyscy podnieśli wzrok do góry.

W promieniach słońca, na wysokości paruśet metrów, unosiły się dwa jakieś błyszczące mocno przedmioty, w kształcie aeroplanów, mające wygląd, jakby były z kryształu i srebra zbudowane.

— To oni!.. — zawołał, z pełnym nienawiści zgrzytaniem zębów, prof. Meier — to oni... to... Polacy!

— Wypredzą nas! Zdobędą biegun!..—z najmniejszą nienawiścią zawołał profesor Schulz.

Sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie. Ci, którzy ich nienawidzili śmiertelnie, którymi pogardzali, jako istotami znacznie od siebie pod względem intelektualnym niższymi, mieli dokończyć tego, po co oni dążyli. Mieli zwyciężyć ich i na cały świat wsławić się odkryciem biegun!

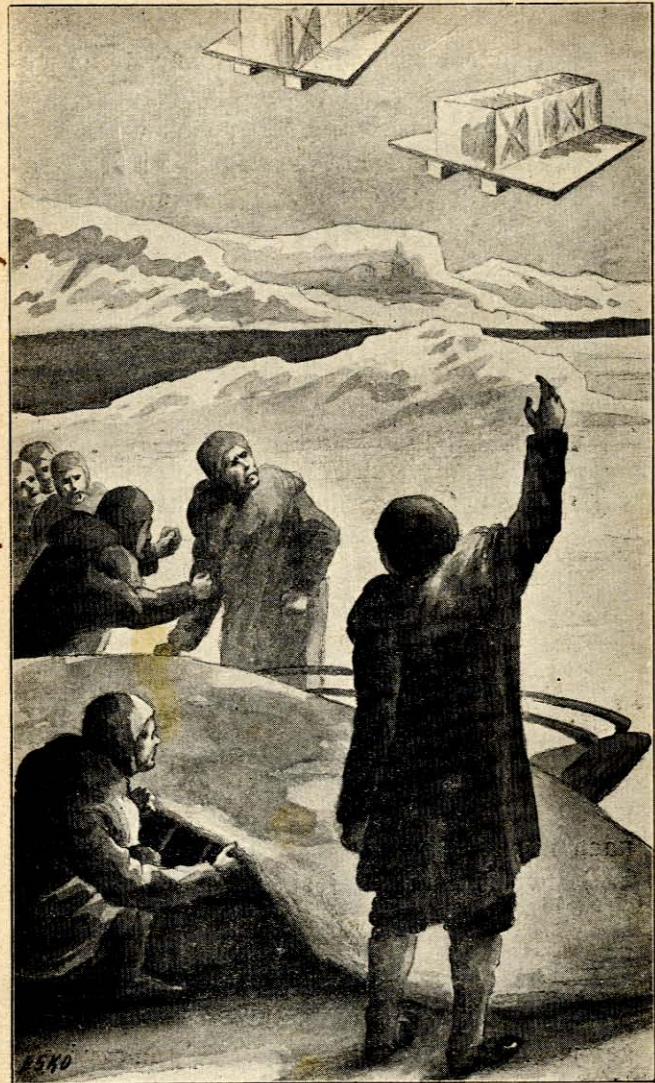
— Nie, to niemożliwe! Na to nigdy pozwolić nie można!

I w jednej chwili, zapomniawszy o kłótni, którą dopiero co toczyli, połączyli się we wspólnej nienawiści ku Polakom.

Prof. Meier namyślał się sekundę, wreszcie zawołał:

— Mam plan... Bądźcie spokojni i we wszystkim słuchajcie moich rozkazów.

A gdy pytająco spojrzeli na niego, odrzekł z mocą:



— Patrzcie!.. tam, tam... w górze, nad nami!..

— Bądźcie spokojni... Nie damy się im wyprzedzić... Wzywajcie teraz ich pomocy.

Posłusznie rozkaz jego wypełniać zaczęli, aż wreszcie aeroplany zawisły nad ich głowami i dał się słyszeć silny głos pana Bonieckiego, pytającego po francusku:

— Co się stało? Czego żądacie od nas?

— Pomocy, panie! — odrzekł w tymże języku profesor Meier — ulegliśmy wypadkowi, i nie mamy możliwości wydobyć się stąd. Odwołujemy się do twych uczuć ludzkich panie i prosimy o dopomożenie nam!

«Orzeł» zniżył swój lot, i po chwili znalazł się na lodowcu, tuż obok Zeppelina.

XII.

Wolne morze.

Pan Boniecki, opuściwszy wraz ze Stańczakiem «Orla» wysłuchali spokojnie zmyślonej na prędce opowieści prof. Meiera o przyczynach katastrofy.

Łatwo zrozumiałe jest, że nie powiedział przy tem ani słowa prawdy, nie chcąc dyskredytować się w oczach Polaków...

— Bardzo to jest smutne, panowie — rzekł pan Boniecki — ale my zabrać was z sobą nie możemy. Pomoc nasza, niestety, ograniczyć się

może tylko do tego, że możemy zaopatrzyć was w pewną ilość żywności, oraz nawiązać telegraficzne porozumienie z «Germanją», zawiadamiając załogę jej, że ulegliście katastrofie pod takim to stopniem szerokości i długości i ażeby wam jak najprędzej podążali z pomocą.

Odpowiedź ta nie zadowoliła zbytnio profesora Meiera. Przeciwnie, twarz mu się wykrzywiła a nos wyciągnął.

W najgorszym nawet razie nie spodziewał się podobnej propozycji. Gniew błysnął mu w oczach, lecz zaraz pohamował się i przybierając układną minę, rzekł:

— Dziękujemy bardzo panu i za to, lecz nie takiej pomocy spodziewaliśmy się od niego.

— A jakiej?.. — spytał zdziwiony pan Boniecki.

— Szanowny panie — uroczystym tonem mówić zaczął prof. Meier — nauka i wiedza nie znają narodowości... Ojczyzną ich jest ludzkość cała i ona to z owoców ich korzysta. Zarówno pan szanowny i jego towarzysze, jak ja i moi, jednaką palamy miłością dla wiedzy i nauki. Dlaczegożbyśmy więc nie mieli połączyć pracy naszej i wysiłków celem wspólnej służby u tej naszej potężnej pani?

A gdy pan Boniecki spojrział na niego zdumiony, dodał tonem objaśnienia:

— Ma się rozumieć, nie prosimy o to, aże by pan zabierał z sobą wszystkich. Szczupła tylko garstka pragnie towarzyszyć panu w te podróży. Pozostali czekać będą tu albo naszego powrotu, albo też nadejścia pomocy z «Germanji».

Nie spodziewam się odmowy ze strony pańskiej, gdyż wiem, że Polacy są narodem szlachetnym i że dla dobra nauki wszystko zrobiją.

Zmarszczył brew pan Boniecki.

— Daruje pan, profesorze — rzekł — że mu nie dam odrazu odpowiedzi, muszę się bowiem wpieryw naradzić z moimi towarzyszami podróży.

Uśmiechnął się chytrze prof. Meier i z niskim ukłonem rzekł:

— Szanowny panie, pewien jestem, że jeżeli z jego strony nastąpi zgoda, to i towarzysze jego nic przeciwko temu mieć nie będą...

Pewien, że jego słowa pożądany wynik odniosą, cofnął się w tył.

Pan Boniecki połączył się z towarzyszami i półgłosem zakomunikował im prośbę profesora Meiera.

Oburzenie ich zdjęło, gdy posłyszeli treść prośby.

— Co? — zawołał Jerlicz -- prusacy mają razem z nami jechać do bieguny? Nigdy.. nigdy!

Stańczak nie mówił ani słowa, lecz z miny jego łatwo poznać można było, że w zupełności zgadza się na zdanie Jerlicza.

Oczy wszystkich zwróciły się na prof. Narbutta, zdanie którego, jako najpoważniejszego wiekiem, najwięcej ceniono.

Sędziwy profesor, po chwilowym namyśle, odrzekł:

— Zgadzam się ze zdaniem prof. Meiera, że nauka i wiedza nie znają narodowości. Ogarnia ona sobą świat cały i dlatego wszyscy dążyć winni do jej wzbogacenia. Dlatego też głosuję za tem, ażeby przystać na prośbę... Wśród Niemców są ludzie, nazwiska których znane są w świecie naukowym i którzy tylko do spotęgowania wyników naszej wyprawy przyczynić się mogą.

Argument ten był tak wymowny, a umiłowanie wiedzy, posunięte aż do przebaczenia nieprzyjaciółom, bijące z słów profesora, tak potężne, że nikt nic przeciwko temu rzecz nie mógł.

Nawet Jerlicz, choć mruczał trochę z niezadowolonia pod nosem, słuszność im przyznać musiał.

— A więc dobrze — rzekł — niech jadą, ale nie «Orłem». W «Sokole» są trzy miejsca, trzech też z pośród nich zabrać możemy!

O wyniku narady zawiadomił pan Boniec-

ki prof. Meiera, który nie ukrywając zupełnie swej radości, zawołał:

— Ależ znakomiciel!. Pojedzie nas trzech tylko: prof. Schulz, porucznik marynarki, Herbert von Stark, oraz ja... Narzędzi i instrumentów żadnych z sobą brać nie będziemy, gdyż widzę, że wyprawa pana dostatecznie w nie jest zaopatrzona. Zresztą samo nazwisko prof. Narbutta świadczy o tem dostatecznie.

Rozpoczęto więc przygotowania do wyruszenia dalej. Żywnością, w którą tak obficie zaopatrzył obydwaj aeroplany pan Kleofas, podzielono się sumiennie z Prusakami; Stańczak dokonał przy pomocy telegrafu bez drutu, połączenie z «Germanją», którą zawiadomił o rozpaczliwym położeniu członków wyprawy, wzywając ich zarazem do podążenia im z pomocą.

Tymczasem zarówno prof. Meier, jak i prof. Schulz oraz porucznik von Stark, szykowali się do dalszej podróży.

Na dany znak «Sokół» obniżył swój lot, i pan Boniecki zakomunikował Peńskiemu i Majewskiemu zapadłe postanowienie co do zabrania trzech członków wyprawy pruskiej.

Skrzywili się, posłyszawszy to. Peński chciał nawet zaprotestować, lecz powstrzymał się, wspomniawszy, że wszakże to pan Boniecki był jedynym i głównym dowódcą wyprawy, organizowanej jego kosztem.

Acz niechętnie, przystać musieli na narzuconych sobie towarzyszy podróży.

Pan Boniecki dał znak do odjazdu i wszyscy zajmować zaczęli miejsca swe w aeroplanach.

Po sygnale «Orzeł» wzniósł się dumnie do góry, a za nim w ślad podążył i «Sokół», unosząc z sobą trzech Prusaków.

Straciwszy prawie 3 godziny czasu około Zeppelina, aeroplany mknęły naprzód, byle tylko jak najprędzej stanąć u celu.

— Sześć godzin jeszcze — obliczał głośno Jerlicz — sześć godzin tylko, a tajemnica biega stanie przed nami otworem.

Każdy stopień przebyty notował starannie.

Dotarli wreszcie do 86° szerokości północnej. Jeszcze 20 kilometrów i Jerlicz obnażył głowę, wołając:

— Panowie!. Zwycięstwo!. Przekroczyliśmy punkt najdalszy, do którego dotarł Nansen. Zwyciężyliśmy go... Górą «Orzeł» i Polską!

Entuzjastyczne okrzyki wszystkich zebranych przywodziły mu w tym okrzyku tryumfu.

— Jeszcze tylko czterysta trzydzieści kilometrów! — wołał Jerlicz — pięć godzin drogi, a staniemy u krańców osi ziemskiej.

«Orzeł», jakby odczuwając niecierpliwość swych pasażerów, mknął naprzód, mijając rozścielający się pod nim ponury krajobraz.

Nikt jednak nie patrzył na niego, wszyscy

wpatrywali się w przestrzeń, oczekując rychłego końca podróży.

— 87° stopień! — wygłosił z tryumfem Jerlicz.

Profesor Narbutt ujął za lunetę i wpatrywać się zaczął w przestrzeń.

Naraz cień zdziwienia przemknął po twarzy jego.

Odjął ją na chwilę, przetarł szkła i znów wpatrywać się począł w dal.

— Tam... wolne morze... — wyszeptał wreszcie z trudem, nie mogąc ukryć wzruszenia.

Okrzyk podziwu wyrwał się z ust wszystkich. Porwali za lunety i zaczęli wpatrywać się w dal.

Tak... tam, het, w oddali, po za śnieżnym pasmem ławicy lodowej, widać było siną, falującą płaszczynę.

Tam było to wolne morze, istnienie którego przypuszczało tylu uczonych i podróżników, a którego żaden z nich jeszcze nie widział.

To, co dotychczas mitem się zdawało, stało się faktem. Część tajemnicy bieguna już wydarta...

Szybkim lotem zbliżały się aeroplany do owego morza. Na granicy jego zatrzymali się, patrząc pełnem ciekawości okiem na pomarszczoną lekko powierzchnię jego.

Jerlicz zmierzył szerokość i długość. Znajdowali się pod 87 stopniem 40' minutami pół-

nocnej szerokości, o 262 kilometry od bieguna.

— Morze to nie ma dotąd nazwy — rzekł poważnym głosem profesor Narbutt — proponuję więc, ażebyśmy my je nazwali.

— Dobrze, profesorze — odrzekł pan Boniecki — tyś pierwszy je dostrzegł, do ciebie należy zaszczyt nazwania go!

— A więc — rzekł wzruszonym głosem profesor — na dalekim południu, w Australji, znajduje się góra, nazwana imieniem tego, kogo czci cały naród Polski! Niech sława jego i na daleką sięga północ... Na cześć jego nazwijmy morze to — morzem Kościuszki!

Z uznaniem przyjęli wszyscy tę nazwę i obnazieniem głowy uczcili chrzest morza odległej północy!

Stańczak w dalszym ciągu przez lunetę badał horyzont, wreszcie, odejmując od oka lunetę, rzekł:

— Tam, hen na północy, widać jakby słup dymu... Co to być może?...

Profesor wziął lunetę i przez nią bacznie zaczął się przyglądać widnokręgowi.

Nie miał jednak czasu wypowiedzieć ani słowa, gdy naraz stało się coś niezwyčajnego.

Tuż koło stojącego nieruchomo w przestrzeni «Orla» przemknął błyskawicznym lotem «Sokół» i pomknął hen, przed siebie, na północ!

Zdumieli się tem wszyscy, lecz któż opisać zdoła przerażenie ich i zdumienie, gdy dostrzeegli powiewający z jednego z jego boków sztandar o barwach niemieckich.

Chwilę trwało osłupienie, wreszcie pierwszy Jerlicz szarpnął się i z głośnym krzykiem: — Zdrada! zdrada!.. — pociągnął za rączkę maszyny elektrycznej.

«Orzeł» drgnął i pomknął w przestrzeń, dążąc w ślad za uchodzącym przed nim «Sokolem»...

XIII.

Co się stało w „Sokole”.

Ażeby wyjaśnić zagadkę tego zajścia, musimy cofnąć się wstecz i opowiedzieć wszystko, co zaszło w «Sokole» od chwili, gdy znaleźli się w niej trzej Prusacy.

Z początku, widząc niezbyt przyjazne, a nawet wręcz wrogie zachowanie się wobec nich Peńskiego i Majewskiego, trzymali się od nich zdaleka.

Powoli jednak profesor Meier zaczął zagadywać, starając się nawiązać z nimi rozmowę. Jednocześnie prawie porucznik von Stark i profesor Schulz przyglądali się bacznie każdemu ruchowi Peńskiego i Majewskiego,

starając się zrozumieć dobrze sposób kierowania zagadkowym aeroplanem.

Dążyli w ślad za «Orłem», i gdy ten stanął, zatrzymany widokiem wolnego morza, stanęli i oni.

Prof. Meier został opanowany dziwnym jakimś szalem.

Pomimo sławy uczonego, był on zaciekłym szowinistą pruskim, należał do gatunku tych, dziełem których było osławione H. K. T., męki dziatwy szkolnej w Poznańskim, wywłaszczenie, i tyle, tyle innych udręczeń, jakie znościć dzięki im musi ludność polska w Poznańskim.

Szowinizm ten zaślepił go, odbierał mu zdrowy sąd, doprowadzał wprost do szalu.

I teraz, gdy mu zdawało się, że dopnie celu, który miał wslawić naukę i wiedzę pruską, niepowodzenie zatrzymało go prawie u celu, Polacy zwyciężyli go i on dopnie go tylko dzięki im!

Szał, wywołany tem, zaślepił w nim uczucie sprawiedliwości, doprowadził do jakiegoś dzikiego wybuchu.

Ha! nie dopuścić do tego, nie pozwolić, by oni tryumfowali, wydrzeć im pierwszeństwo, za wszelką cenę, choćby za cenę zbrodni—uporczywą myślą świdrowało mu w mózgu.

Spojrzał na towarzyszków i w oczach ich wyczytał takąż samą myśl...

Do czynu zatem... Do zbrodni, byle tylko wiedza niemiecka tryumfowała.

Korzystając z tego, że zarówno Peński, jak i Majewski zajęci byli w zupełności rozciągającym się u stóp ich widokiem i na nic więcej nie zwracali uwagi, profesor zawołał głośno:

— Schon!

W jednej chwili porucznik von Stark rzucił się na Majewskiego, a obydwaj profesowie na Peńskiego. Silnymi uderzeniami pięści w głowę oszołomili ich, a gdy ci padli nieprzytomni, związali ich grubymi i mocnymi sznurami, których pęk potężny znalazł w kącie aeroplanu porucznik von Stark.

— A teraz zobaczymy, kto tryumfować będzie! — zawołał prof. Meier — nie wy, Polacy, pierwsi staniecie na biegunie! Nie wam ten zaszczyt przypadnie w udziale!

Korzystając z tego, że «Orzeł» stał w miejscu nieruchomo, przekręcił silnie rączkę maszyny i «Sokół» całą siłą motoru pomknął naprzód.

Dla większej ironji, dla silniejszego zdokumentowania zwycięstwa swego, profesor Schulz wywiesił nazewnątrz sztandar pruski, jakby znak tryumfu.

Mknęli z błyskawiczną szybkością. Czuli, że tuż za nimi goni «Orzeł»... czuli, że szybkość tegoż dorównywa ich szybkości, i że tyl-

ko na parę minut wyprzedzić zdołają Polaków w zajęciu bieguna, lecz wszystko jedno...

Choćby nawet o parę minut, choćby nawet zginąć potem, byle tylko stanąć pierwszymi, byle tylko zatknąć sztandar germański o parę minut przed Polakami, byle się nie dać im wyprzedzić!

Pierwszeństwo to dawało im władanie nad biegunem, a następnie zdobywali cudowną maszynę, posiadanie której może oddać Prusom panowanie nad światem całym.

Upojeni tryumfem swoim mknęli coraz prędzej naprzód.

Profesor Meier odczytywał szybkość biegu «Sokoła», a porucznik von Stark, trzymając za rękonożkę maszyny elektrycznej, kierował nią.

88°, 89° wreszcie 90° — biegun... Zwycięstwo! tryumf!

Von Stark energicznie pokręcił rączką maszyny, by opuścić ją w dół, do owego upragnionego bieguna, by zatknąć na nim zwycięską flagę pruską.

Lecz co to?..

«Sokół», miast opaść w dół, wznosić się począł z błyskawiczną szybkością do góry... Przekręcił rączkę w innym kierunku... «Sokół» szarpnął się, jak rumak czystej krwi i pomknął w kierunku wschodnim...

Znów ją przekręcił...

«Sokół» znów zmienił kierunek i zakreśliwszy prawidłowe koło, zwrócił się na zachód...

Porwany złością, szarpnął wreszcie silnie, i «Sokół» ukośnie mknął do góry począł w kierunku południa...

Wewnątrz «Sokoła» zapanowała dzika rozpacz. Opanowani pełnym szowinizmu szalem Prusacy poczuli, że stracili władzę nad aeroplanem, że unosi on ich hen, w przestrzeń, na zagubę i na zatracenie...

Że zamiast chwały i potęgi dla ojczyzny swej, zdobyli sobie śmierć i zagładę!

Koniec części II-ej.



45639/2

95639/2



Dodatek do Naszego Świata

Maj 1912